



Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką po
 cztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop.,
 z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. —
 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty. 1007/15

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. KRAKÓW, ZACISZE 7. ŁP. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV.

Kraków, 12 stycznia 1907.

Nr. 2.

Zamach na naczelnika Petersburga.

(Treść na stronie 2).

V. DIV. X. IAGELL.
 CRAGOVENSIS.



Treść numeru: Ku czci Orzeszkowej. — Filar Sztuki polskiej. — Organizacja mieszczan lwowskich. — Zjazd Kółek rolniczych. —
 35-letni jubileusz kapłaństwa. — Manifestanci z pl. Grzybowskiego przed sądem. — Nowe zamachy na policję warszawską. — Z walk
 bratobójczych w Łodzi. — Krwawy wieczór — Żywcem pogrzebany — Bandytyzm we Lwowie. — Figliki w Krakowie. — Bohaterka
 głośnego romanu. — Zapasy atletów w Wiedniu. — W kraju „najdalszego zachodu”. — Echa absolutnych rządów na Węgrzech. —
 Jubileusz wroga polskości. — Znowu małżeństwo w domu Hohenzollernów. — 70-ecie ałużby wojskowej. — itd. itd.

Zamach na naczelnika Petersburga.

(Do ilustracji tytułowej).

W państwie rosyjskiem po chwilowej przerwie coraz częściej zaczynają się na nowo zdarzać zamachy polityczne. Do najwybitniejszych bezwzględnie ze względu na ofiarę i miejsce należy świeży zamach na gradonaczelnika miasta Petersburga, Launitza. Stało to się w czasie uroczystości poświęcenia instytutu medycyny doświadczalnej w Pe-



Fot. O. Drankow Petersburg.

Zamach na naczelnika Petersburga: Zastrzelony przez rewolucjonistę von der Launitz.

tersburgu. W czasie nabożeństwa w cerkwi poza gradonaczelnikiem Launitzem stał nieznanym nikomu brunet, lat około 23, ubrany w nowy garnitur frakowy i futro.

Kiedy wyprowadzano z cerkwi protektora, księcia Olduburskiego, nieznanym ten człowiek szedł tuż za Launitzem.

Przed schodami cerkiewnymi naczelnik miasta przepuścił księcia naprzód, a sam szedł za nim

z tyłu w towarzystwie ajenta wydziału ochrony. Gdy Launitz był już w odległości kilku kroków od księcia, nieznanym człowiek dobył rewolweru i w mgnieniu oka dał dwa strzały do Launitza, widocznie jednak chybił, gdyż naczelnik stanął i odwrócił się, lecz następne dwa strzały ugodziły go w piersi, poczem runął na ziemię w śnieg. Nachylił się nad leżącym nieznanym przestępcą i pośpiesznie wypalił jeszcze trzykrotnie do Launitza. Jeden z obecnych oficerów rzucił się na przestępcę z pałaszem i zranił go w głowę i plecy. Inny zaś oficer strzałem ze swego rewolweru zranił go śmiertelnie w brzuch. Lecz sprawca zamachu, nie tracąc przytomności, jeszcze strzelał i ostatnią kulę skierował sobie w usta. Pozbawił się tem życia na miejscu. Zwłoki oddano do prosektoryum akademii wojskowo lekarskiej, gdzie je sfotografowano. Na zajtraz do wydziału ochrony wezwano wszystkich właścicieli hoteli i pokoiów umeblowanych i pokazano im fotografię wykonawcy zamachu, lecz nie doprowadziło to do żadnych wyników. Przypuszczają, że przyjechał on z Warszawy. Bielizna jego była bez znaków. W kieszeni ubrania znaleziono drugi rewolwer i bilet bezimienny, zapraszający na uroczystość poświęcenia pawillonu chorób skórnych w instytucie medycyny doświadczalnej. Śledztwo prowadzi sędzia do spraw szczególnie ważnych, Zajców. Aresztowano dwie osoby podejrzane w tej sprawie, lecz po stwierdzeniu osobistości wypuszczono je z aresztów bezwzględnie.

Ku czci Orzeszkowej.

Do poprzedniego numeru nie zdążyliśmy już dołączyć fotografii z poranku jubileuszowego, urządzanego w niedzielę na cześć Elizy Orzeszkowej w sali teatru miejskiego we Lwowie.

Opisując przebieg pięknej i ze wszech miar udatnej uroczystości, wspomnieliśmy już tamtym razem, że zakończeniem poranku jubileuszowego był żywy obraz przedstawiający „Bohód narodu“.

Wierne zdjęcie fotograficzne tej podniosłej sceny widzą Czytelnicy na załączonej rycinie. Fotografia wykonana została umyślnie dla naszego pisma.

35-letni jubileusz kapłaństwa.

W najdalszym zakątku powiatu stryjskiego leży w odludnej okolicy, odcięta od świata, pięciomilową drogą kołową oddalona od kolei, wioska Felizienthal. Jest to od lat szeregu siedziba ks. Madeja, który świeżo obchodzi 35 lecie sumiennej,

pełnej poświęcenia pracy kapłańskiej na kresach. A stanowisko dzisiejszego jubilata należy do najtrudniejszych w kraju. W kolonii Felizienthal mieszkańcy przeważnie Niemcy skłaniają się ku protestantyzmowi. To też jedynie pracy i usiłowaniami wytrwałego proboszcza ks. Madeja zawdzięczać należy, że ludność miejscowa pozostała w wyznaniu rzymsko katolickim. Jak żmudną i niewdzięczną była placówka duszpasterza w Felizienthalu, dowodzi choćby ta okoliczność, że kiedy ks.

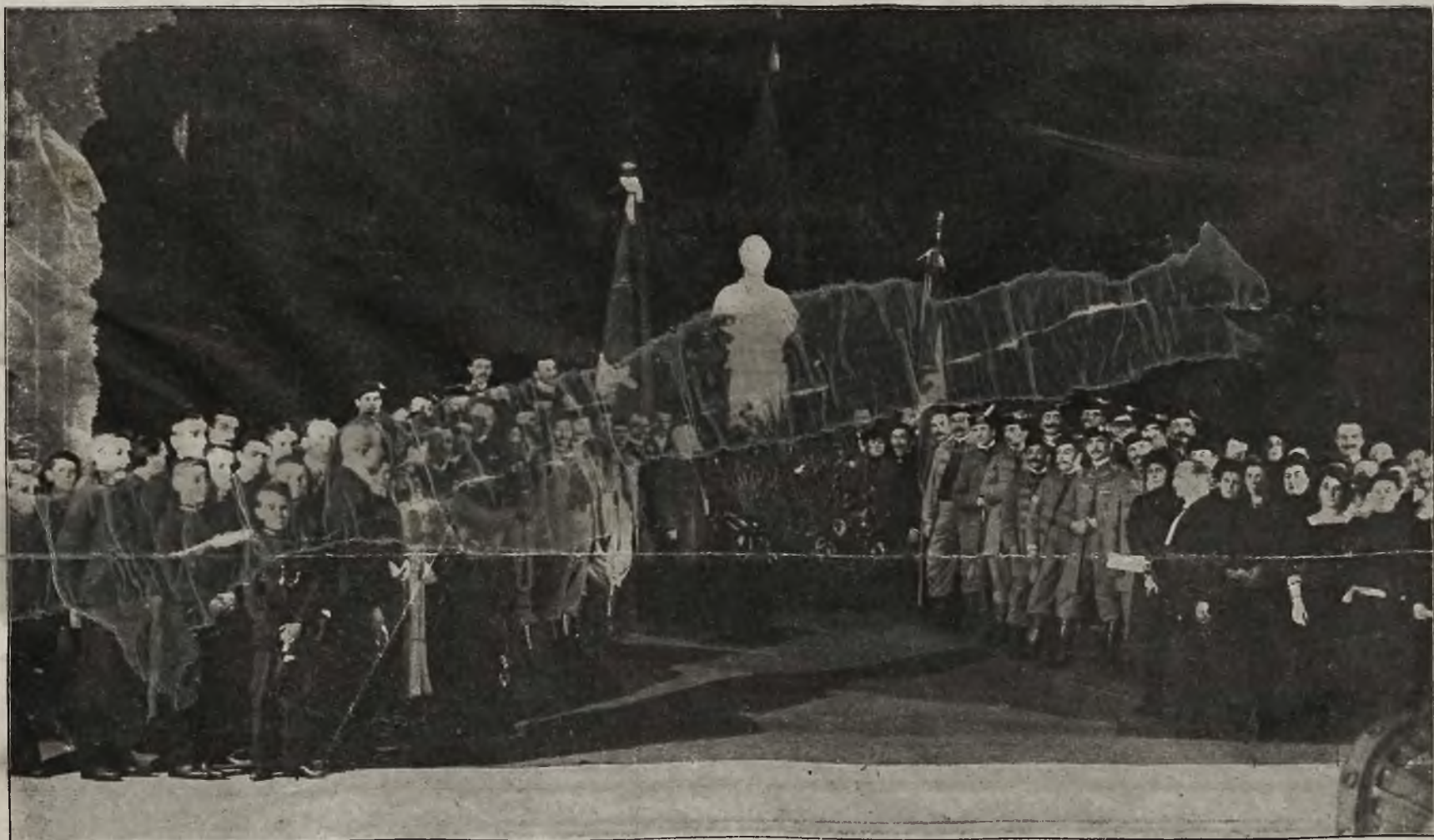


Jubileusz wroga polskości: Kardynał, książę-biskup wrocławski, dr. Jerzy Kopp, obchodzący 8 h. m. czterdzięciową rocznicę otrzymania święceń biskupich.

(Do artykułu na stronie 10).

Madej zachorował obłożnie, a władze kościelne na znaczyły na jego miejsce zastępcę, ten jak najszybciej opuścił kolonię niemiecką, nie mogąc wytrwać wśród trudnych okoliczności. Ks. Madej z okazji jubileuszu odbiera liczne powinszowania z okolicy.

I my dziś zamieszczając w niniejszym numerze podobiznę zacnego kapłana jubilata, zwracamy imieniem naszych Czytelników z powiatu stryjskiego, serdeczne życzenia dalszej, owocnej dla społeczeństwa pracy na kresach.



Ku czci Orzeszkowej: Żywy obraz „Bohód narodu“ na poranku jubileuszowym na cześć Orzeszkowej w teatrze lwowskim.

Fot. T. Bahryniewicz, Lwów.

Z walk bratobójczych w Łodzi.

Pisma codzienne roznoszą, co chwila po świecie zaiste hiobowe wieści o zbrodniach bratobójczych, jakie są obecnie na porządku dziennym w Łodzi.



Echa rządów absolutnych na Węgrzech: Ustępujący minister sprawiedliwości Geza Tolonyi.
(Do artykułu na stronie 9).

Stan rzeczy w tem wielkiem mieście fabrycznem staje się z każdą chwilą gorszy. Po kilka a nawet niekiedy po kilkanaście ofiar dziennie pada tam pod kulami browningów, lub nożami braci z innych partyi.

Wśród ostatnich ofiar łódzkich społeczeństwo oplakuje śmierć przedwczesną jednego z wybitnych i zasłużonych działaczy narodowych. Dajemy tu właśnie jego podobiznę. To młody i obiecujący inżynier śp. Jan Ostaszewski, wychowanek polit. ryskiej. Padł on od kul bratobójczych razem ze swym towarzyszem pracy, inżyn. Polkowskim w chwili, gdy wychodził z fabryki Scheiblerów, gdzie był dyrektorem.

Śmierć b. dyrektora policji we Lwowie.

W ostatnich dniach ubiegłego roku zakończył życie we Lwowie człowiek, który przez przeszło 20 lat odgrywał w tem mieście rolę bardzo wybi-



Śmierć byłego dyrektora policji we Lwowie: Śp. Władysław Krzaczkowski.

tną, jako dyrektor policji. Był to śp. Władysław Krzaczkowski, radca dworu.

Urodzony 1836 r. w Samborze, po ukończeniu studiów prawnych wstąpił 1857 r. do służby w namiestnictwie. Jako młody urzędnik polityczny pracował kolejno we Lwowie, oraz w urzędach obwodowych i powiatowych w Stanisławowie, Stryju, Złoczowie, Kałuszu i Łancucie. W roku 1860 był dwukrotnie kierownikiem komisji serwitutowej w Kałuszu i Stryju. Dosłużywszy się rangi starosty, został w 1880 r. mianowany dyrektorem policji we Lwowie i na stanowisku tem pozostał do r. 1901, w którym jako radca dworu przeszedł na emeryturę.

Ś. p. Władysław Krzaczkowski na trudnem, niesłychanie odpowiedzialnem, a bardzo niepopularnem stanowisku dyrektora policji, zwłaszcza w warunkach dla urzędnika - Polaka wówczas tak bardzo niekorzystnych, potrafił sobie zaskarbić nie tylko u swych podwładnych, ale w szerokich kołach obywatelstwa miejskiego duży miar. Główną przyczyną tego była okoliczność, iż dyrektor Krzaczkowski łączył w swym charakterze trzy tak ważne zalety, jak: wielki takt, umiarkowanie i spokój. A wiadomo powszechnie, ile to trzeba zaparcia się, ile miary, ile cierpliwości, by odpowiedzieć obowiązkom na się przyjętym, gdy się jest

szefem tak ważnej instytucji. a równocześnie by nie narazić się zmiennej i kapryśnej publiczności wielkomiejskiej. Potrafił to śp. Krzaczkowski, a potrafił równocześnie obronić swą godność Polaka i obywatela. To też w ostatnich latach swego urzędowania miał dużo gorzkich i przykrych chwil: rząd centralny bowiem wolałby widzieć na stanowisku dyrektora policji człowieka, dla którego wszystkim byłaby wola Wiednia.

Filar polskiej Sztuki.

Zaiste nieodżałowaną stratę poniosła krakowska Akademia sztuk pięknych, a z nią malarstwo polskie w ogóle przez zgon prof. Jana Stanisławskiego. Przyjaciele jego od pewnego czasu byli już przygotowani na to, iż ukochany profesor opuści ich lada godzina, niszczony powoli okrutną chorobą, a jednak nie spodziewali się, że chwila ta nadejdzie tak rychło. Szczególnym zbiegiem okoliczności, zgasł Jan Stanisławski właśnie w dniu, w którym stworzony przez niego związek artystów pod nazwą „Sztuka“, otwarciem dorocznej wystawy w Krakowie, święcił dziesięciolecie swego chlubnego istnienia.

Urodzony w r. 1861 na Ukrainie, jako syn profesora filozofii na uniwersytecie kazańskim i literata polskiego, odebrał śp. Jan Stanisławski staranne wychowanie w domu wysoce kulturalnym i szczerze polskim; po ukończeniu gimnazjum w Kazaniu, oddał się studjom matematycznym w uniwersytecie warszawskim. Jednocześnie jednak poświęcał się rysunkom pod kierunkiem Gersona, który naówczas stał na czele szkoły rysunkowej w Warszawie. Ukończywszy uniwersytet przybył do Krakowa, gdzie zamiast, jak zrazu zamierzał zostać profesorem matematyki, zapisał się do Szkoły sztuk pięknych, dzisiejszej Akademii — i odtąd oddał się niepodzielnie malarstwu. W Krakowie spędził zaledwie rok. Przez następnych lat ośm stał co pewien czas zjeżdżając na kilka miesięcy do Paryża, to znów wracał na studia pejzażowe na Ukrainę. Stał nie pracował w żadnej ze szkół paryskich, lecz prywatnie korzystał ze wskazówek najznakomitszych mistrzów tamtejszych. Zwłaszcza w bliższe stosunki wszedł z Carolusem Duranem i Puvise de Chavannem, którzy nie szczędzili mu zachęty, widząc talent ogromny obok wysokiej kultury. Już studia pejzażowe przywożone za każdym razem z Ukrainy, zwracały uwagę paryskich kół artystycznych na Stanisławskiego zaraz w pierwszych latach, a sukces wielki uzyskała zbiorowa wystawa prac jego w Salonie tamtejszym. Ważną

rolę w życiu ówczesnem Stanisławskiego odegrało zaprzyjaźnienie się w Paryżu z Chełmońskim. Podczas długich rozmów dwóch późniejszych mistrzów we wspólnem mieszkaniu paryskim, rodził się niejako współczesny pejzaż polski.

W tej dziedzinie pejzażu właśnie wyrobił sobie Stanisławski stanowisko przodujące w dzisiejszej sztuce polskiej, stworzywszy własną, nawskróś oryginalną metodę i technikę w przenoszeniu krajo- brazów na płótno. On, zerwawszy z dawnym kie-



35-letni jubileusz kapłański: Ks. Tomasz Midej, probosczyk z Felizientalu w powiecie stryjskim.

runkiem, widział w pejzażu przede wszystkim barwną plamę i nastrój, a wrażenie swoje oddawał w formie dyskretnej, posługując się półtonami, w których zamykał pierwszorzędnym artyzmem Obrazki jego, przeważnie miniaturowe w rozmiarach, zjednały mu sławę rozgłosnego i jedyne w swoim rodzaju przedstawiciela nowoczesnej metody pejzażowej.

Rozgłos i wzięcie utworowały mu drogę do krakowskiej Akademii, dokąd zawezwał go z Paryża nowy jej dyrektor, Fałat, w r. 1896. Od chwili, gdy Stanisławski stał się kierownikiem szkoły pejzażowej w Krakowie, rozwinął na wielką skalę działalność pedagogiczną, której malarstwo polskie tak wiele zawdzięcza. Całemu szeregowi młodych artystów dał tutaj Stanisławski podstawy pracy samodzielnej i podstawy artystycznej kultury. Łatwo dostrzedz ślady wyryte przez potężną indywidualność Stanisławskiego na malarstwie polkiem ostatnich lat dziesięciu. Ten okres właśnie, to jednocześnie dzieje niezależnej organizacji artystów



Z walk bratobójczych w Łodzi: S. p. Jan Ostaszewski, inżynier i dyrektor fabryk Scheiblera.

naszych w związku pod firmą „Sztuka“. Dzieło to Stanisławskiego. Jego staraniem stowarzyszenie to zdobyło równorzędne niemal znaczenie z „Secesyą“ wiedeńską i zyskało dla grona niezależnych malarzy polskich sławne imię za granicą. Dziś

szeni pieniądze Następnie uciekł na ulicę i znikł, a policja nie potrafiła go wysledzić.

O wypadku tym zapomniano prawie we Lwowie, gdy w poniedziałek Sylwestrowy rozeszła się wiadomość o podobnym napadzie na woźnego akcyjnego Banku Związkowego.

W dniu tym mianowicie podjął woźny akcyjnego Banku Związkowego, Grzegorz Tuziak, w towarzystwie jednego z urzędników kwotę 110 000 kor. z kasy Banku austro-węgierskiego a zapłacony z tych pieniędzy przeszło 50 000 kor. w oddziale weklowym, udał się — już sam — do sąsiedniej kamienicy przy ulicy Trzeciego Maja, gdzie właśnie mieści się Bank Związkowy. W sieniach tego domu napadł nań nagle jakiś młody człowiek i ugodził go bokserem w brodę. Woźny Tuziak, mimo dotkliwego bólu, nie utracił przytomności myśli, lecz chwyciłszy kruczowo torbę, w której znajdowało się przeszło 50 000 kor. w gotówce a weksli na 150 000 kor., począł wołać o ratunek. Bandyta widząc, że o zrabowaniu torby złotonośnej nie ma mowy, począł uciekać, w tej chwili jednak nadbiegł z góry, zwabiony krzykiem drugi woźny Banku, Tomasz Bojarski, a ujrawszy krew na twarzy Tuziaka i ciekającego szybko mężczyznę, nie pytając nawet, co z sobą, pociął się za zbiegiem i chwycił go już w ul Trzeciego Maja, w pobliżu bramy. Nadbiegł również Tuziak i obaj wżni przytrzymali rabusia tak długo, aż nadszedł policyant.

Przeprowadzone przez policję śledztwo karne stwierdziło przedewszystkiem, iż ujęty bandyta, który początkowo udawał obłąkanego, nazywa się

pobiegł do jego rodziców z wiadomością, iż syn zwaryował i pobił jakiegoś człowieka, gdy Nowakowski równocześnie w policyi rozpoczynał rolę obłąkanego, dowodził tego. Nadto okazało się, że Schwarzer oglądał przed zamachem lokal Banku



Fot. M. Münz.

Bandytyzm we Lwowie: Bandyta Józef Nowakowski.

wielki żal powstał w kołach artystycznych Krakowa, gdy ten filar Sztuki polskiej runął. A stratę odczuje równocześnie i stary Kraków, w którego różnych stowarzyszeniach artystycznych odgrywał zmarły profesor rolę ożywcza, że przypomni Polską Sztukę Stosowaną, Muzeum Narodowe, komitet restauracji Wawelu i Towarzystwa pielęgnujące stary Kraków.

Wszakże zabraknie dziś profesora Stanisławskiego, jako wielkiego artysty i jako człowieka o niezwykłej w Polsce kulturze artystycznej Najbardziej opłakują go zaś uczniowie, wśród których popularny mistrz cieszył się prawdziwym a zasłużonym uwielbieniem.

Cześć jego pamięci!

Bandytyzm we Lwowie.

Wielkie wrażenie i ogólne zaniepokojenie wywołał we Lwowie w drugiej połowie listopada niesłychanie śmiały rabunek, dokonany na osobie akademika p. Vö ö-a. W chwili gdy p. Vö ö-a, podjąwszy w Banku austro-węgierskim 3 000 koron, dochodził do drzwi mieszkania, ugodził go jakiś rabusz tępem narzędziem w głowę i wyrwał z kie-



Nowe zamachy na policję warszawską: Zastrzelony na ulicy Dobrej rewiry Jan Zbyszewski.

Józef Nowakowski, mieszka przy ulicy Bema 1. 6 a jest synem woźnicy tramwaju konnego. Stwierdziło dalej śledztwo, iż Nowakowski po ukończeniu 5 tej klasy szkoły realnej rzucił naukę, służył trzy lata w wojsku przy artylerii w Przemyślu poczem próbował rozmaitych zawodów, ni gdzie jednak dłużej nie popasał. W ostatnich czasach żył wesoło, nie nie robił, a jednak miał pieniądze, przysyłane mu rzekomo przez przyjaciół, których miał w Borysławiu. Ponieważ zaś Nowakowski miał bardzo serdecznego przyjaciela w osobie takiego samego utępowia, Joachima Schwarzera, przeto policja zajęła się i tym przyjacielem, a jak wykazały dalsze dochodzenia, i współnikiem zbrodni. Wyszło równocześnie na jaw, że sprawcą napadu i rabunku na osobie p. Vö ö-a był Nowakowski. Poznał go i p. Vö ö-a poznał też listonosz Cionka, który w dniu krytycznym spotkał p. Vö ö-a w bramie kamienicy i widział za nim idącego Nowakowskiego. Za pieniądze zrabowane p. V żyli Nowakowski i jego przyjaciel Schwarzer wesoło przez kilka tygodni, zabawiając się w rozmaity sposób. Aby zaś nie zwrócić uwagi policyi i sąsiadów, Nowakowski podejmował nawet kosztowne przejażdżki na prowincję i stamtąd wysyłał pod swoim adresem do Lwowa rozmaite kwoty.

Zamach na woźnego Tuziaka wykonał Nowakowski w porozumieniu ze Schwarzerem; już sam fakt, iż Schwarzer zaraz po ujęciu Nowakowskiego



Fot. M. Münz,

Bandytyzm we Lwowie: Bandyta Joachim Schwarzer.

Związkowego, dalej, że w chwili napadu znajdował się w pobliżu, koło Kasy oszczędności, widocznie tam oczekując wyniku zamachu, że wreszcie razem z Nowakowskim i swoją kochanką, układał plany wyjazdu zagranicę, co mogło nastąpić tylko w razie odnania się rabunku. Zresztą cały szereg innych faktów, ciągłe przebywanie wspólne, życie za wspólne pieniądze, wspólne fałszowanie świadectw i inne oszustwa, potwierdzały przypuszczenie, iż zarówno rabunek na p. Vö ö-a, jak zamach bandycki na woźnego Tuziaka, był wspólnym dziełem obu obiecujących młodzieńców. Obaj też zostali odstawieni po ukończeniu śledztwa do więzienia sądu krajowego.

* * *

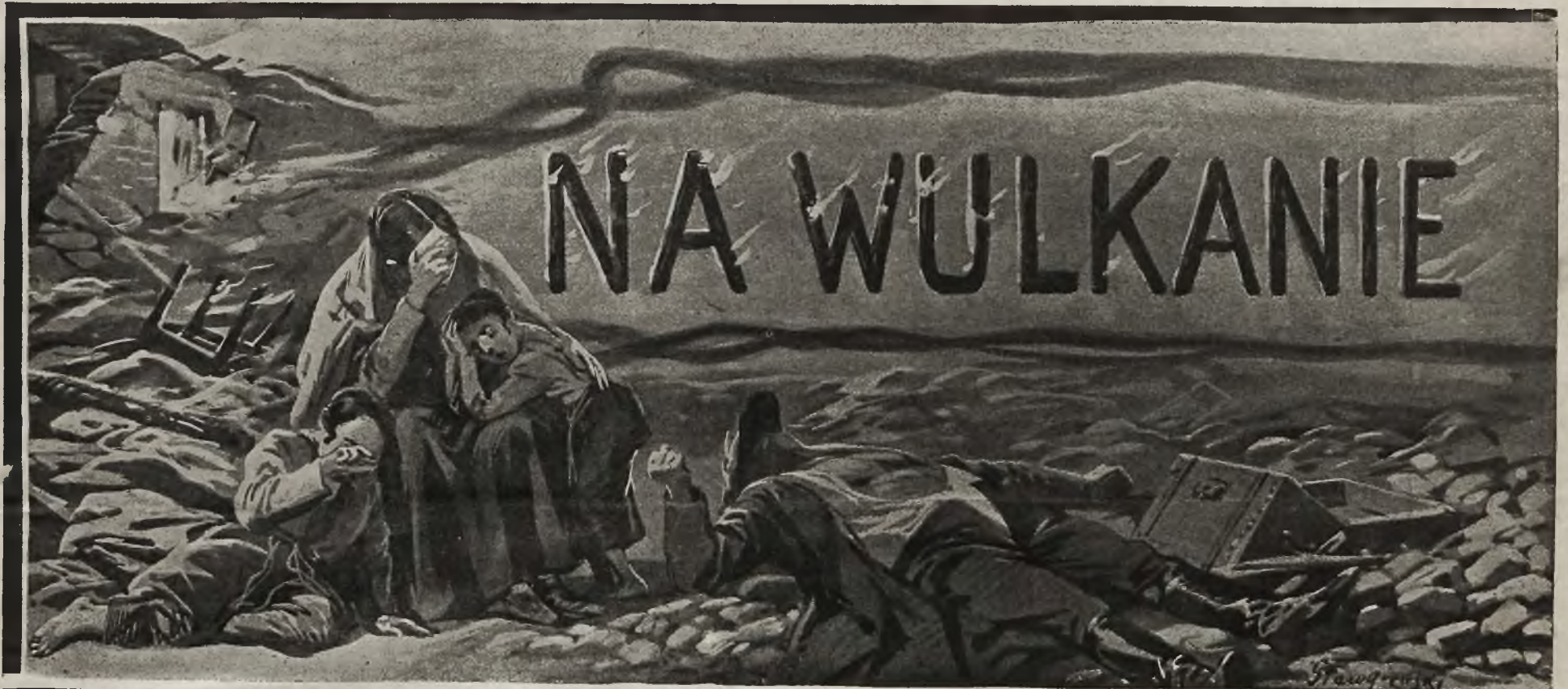
W dzisiejszym numerze zamieszczamy portrety wcznych Banku Związkowego: Grzegorza Tuziaka, ofiary napadu, fotografowanego w dwie godziny po zamachu, z widoczną raną na brodzie — i Tomasza Bojarskiego, który Nowakowskiego ujął, dalej portrety obu bandytów: Józefa Nowakowskiego i Joachima Schwarzera.



Bandytyzm we Lwowie: Woźny Banku Związkowego Grzegorz Tuziak, ofiara napadu (z raną na brodzie).



Bandytyzm we Lwowie: Woźny bankowy Tomasz Bojarski, który ujął Nowakowskiego.



Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

5 Ciąg dalszy.

— A on kocha się?
— O ile wiem, nie.
— Tem lepiej dla niego i znów szkoda, że nie nasz.

— Jesteś wrogiem miłości, — zaśmiał się Bal.
— Miłość przeszkadza, wiem coś o tem... i strzeż się, ona rozdwaja i rzuca trwogę w serce o nią.

— Nie sądź, że współczuję z tobą — mówił Bal wesoło. — czego chciałeś, to i masz. *Tu l'as voulu George Dandin*

— Miej zwyczaj, mój kochany, mówić tylko o tem, na czem się znasz, — rzekł pół żartem Porwa.

Na sali zjawił się Kola, elegancki, wyświeżony, z małym białym astrem w butonierce i z uśmiechem przyjaciela szedł ku siedzącym.

Po przywitaniu spytał go Bal:

— Może zjesz z nami?

— Jestem, po kolacji., ale wypiję z wami kieliszek wina i kawę

Po zamienieniu kilku słów obojętnych, mówił dalej Kola spokojnie:

— Jutro, skoro robotnicy zejda się do fabryk w dzielnicy Wolskiej, odbędzie się rewizya fabryk.

— Czy już wiedzą? — spytał Porwa.

— Przed godziną powiedziałem Logice.

— Zapewne i naszym powie — dodał Bal, pijając wino.

— Przypuszczam, bo ona chociaż nasza, sprzyja i wam także.

— I ja myślę tak samo... ale „zapewne“ nie wystarczy... Pójdę sam — i Porwa zażądał rachunku.

— Zwolna towarzyszu — uśmiechnął się Kola z przymusem — nie wiecie reszty... Równocześnie z rewizją fabryk, przetrząsną mieszkania robotników.

— Niezły plan, chociaż podły — rzekł Porwa — kto go podał?

— Wystarczy wam, że was zawiadomiłem — odpowiedział Kola i pobrał lekko.

— Macie słuszność.. już idę — wstał z krzesła.

— Zaczekaj, pójdę z tobą — zawołał Bal i zadzwonił o rachunek.

— Ty zostań... potrzebujesz sił na jutrzejszą wyprawę.. nie biorę ciebie — i podawał rękę na pożegnanie.

— Nie zapomnijcie moich uprzedzić, niech wymkną się bokiem.

— Wiem — skinął głową i odszedł.

— Dziękuję ci Kola — uściśnął mu gorąco rękę.

— Spełniłem tylko obowiązek. Wy, czy my, o jedno walczymy.

Po dobrej chwili milczenia, odezwał się Kola, dopijając kawy:

— Jeśli to nie jest tajemnicą... co za wyprawa na jutro?

— Przed tobą nie mam sekretu... Jadę do Orowiecka po pieniądze.

— Twoje?
— Nieosobiste.. podatek naszego ludu, używany na gnębienie nas.

— Rozumiem... sprawiedliwość jest po waszej stronie, ale bądź co bądź przywłaszczenie jest nieprzyjemną rzeczą.

— Jakie przywłaszczenie! — zaśmiał się Bal — odbieram swoje. Zważ tylko Kola, że dzisiaj istnieją faktycznie dwa rządy: my i oni. I tamci biorą nasze pieniądze, aby nas gnębić, więc przy nadarzonej sposobności my zabieramy, aby się bronić. Gdyby te pieniądze użyto w celach osobistych, mogłaby być mowa o nadżyciu własności, ale chyba i kraj i ty możecie nam zanuć, że na osobiste potrzeby nie weźmiemy i grosza.

— O tem nie wątpię.. Kiedyż wybierasz się?
— Jutro po południu będziemy na miejscu, ułożę plan szczegółowy i wracamy z pieniędzmi.

— Byle ze życiem — mruknął Kola.

— Mam wiarę w moje szczęście — uśmiechnął się Bal — ileż razy otarłem się już o śmierć, a jednak żyję. I tym razem wyjdę obronną ręką, znam tamtejsze stosunki, bo jestem z tamtych stron. I wyobraź sobie Kola, jaki to tryumf wziąć kasę pod bokiem piechoty, dragonów i strażników.

— Weź mnie ze sobą — zabłyśły oczy Koli — tak mi ciężko i nudno... odetchnę, zobaczę inny świat, innych ludzi.

— Kola! — spojrział mu bacznie w oczy. — ale to nie przelewki, kule mogą gwizdać... no i trafić.

— Tem lepiej — zaśmiał się — jadę z tobą, gdzie się spotkamy?

— Na stacyi petersburskiej o dziesiątej.

— Dobrze, więc rzecz ułożona?

Bal w odpowiedzi skinął głową i w jakiś czas później rozstali się.

III.

Przed spotkaniem się na dworcu kolejowym podzielił Bal towarzyszy wyprawy na dwie części. Osmia pod dowództwem Młota miało wysiąść w Czyżewie i rozdzieliwszy się przyjechać do Orowiecka farmankami. Znow sześciu pod kierunkiem Marcelka, znającego miejscowość, wysiądą w Szczepietowie, stacyi przy Orowiecku.

Obie partie spotkają się z zachowaniem ostrożności na rynku miasteczka i tam otrzymają dalsze polecenia.

Bal, jako naczelnik wyprawy, siadł razem z Kola do pociągu pospiesznego, aby wyprzedzić towarzyszy o dwie godziny i mieć więcej czasu na obmyślenie szczegółów.

Gdy zualęzli się w przedziale drugiej klasy, Kola zdumiony objętością knferka podróznego, spytał z uśmiechem żartobliwym:

— Ileż garniturów wiesz na dwa dni?

— Na razie jeden kostyum i trochę podarunków dla sióstr i szwagra.

— I do nich zajedziemy?

— Wysłałem depeszę, konie będą czekały w Czyżewie.

— Czy należą do partyi? — spytał Kola po chwili.

— Także myśl! — zaśmiał się — mój szwagier Żagielski, szlachcic, właściciel, co najwyżej

będzie endkiem i naturalnie jego żona. Tylko Wanda, młodsza moja siostra, jest oddana naszej partyi.

— I pracuje?
— Na razie sympatyzuje tylko, za młoda, ma osmnasty rok.

Po dłuższym milczeniu spytał zamyślony Kola:

— Nie boisz się ich narazić?

— Zachowam wszelkie ostrożności, a gdyby... gdyby... to trudno — interes partyi jest ważniejszy... Czy zaawazyłeś tych dwóch towarzyszy, którzy mnie żegnali na peronie skinieniem głowy?

— Widziałem ich twarze, tacy się nie zawahają. Czy są uzbrojeni?

— Wszyscy.

— Stachaj Bal... oni są zdecydowani zabijać.

— W ostateczności i ja i oni.

— Dla pieniędzy, — szepnął z goryczą.

— Dla partyi — rzekł Bal ostrą, a po chwili

dodał łagodniej — nie sądź Kola, że krew ról mi przyjemność, ale gdy idzie o wybór pomiędzy wolnym człowiekiem, świadomym swych praw i celów a niewolnikami, nigdy się nie zawaham.

— Jedynie w obronie własnego życia usprawiedliwiam zabójstwo, w każdym innym razie jest zbrodnia.

— Nie mamy o co się spierać... zgadzam się z tobą.

Konie w Czyżewie czekały i po godzinnej jeździe ujrzeli w łagodnych promieniach jesienno-

go słońca szeroko rozłożoną wieś.

Chaty touęły w zieleni drzew, a na ornych polach migotały jaskrawe ubrania kobiet, kopiących

kartofle, baraki, gdy znów mężczyźni orali, brono wali i siali oziminy.

Od czasu do czasu wśród tej wiejskiej ciszy odezwało się przeciągłe ujadanie psa, stłumiony poryk bydła, nawołujące głosy ludzkie i znów zapadała cisza, tak, że dwaj jadący słyszeli tylko turkot powozu swego.

Dojeżdżali już do dworu, otoczonego starami drzewami, gdy w alei poza lipami i krzewami błysnęła sukienka biała i za chwilę na drodze przed kołmi stanęła młoda dziewczyna, dając znak stan-gretowi, aby stanął.

— Wandziu! — zawołał Bal i wyskoczywszy z powozu, szedł ją witać.

Wysiadł Kola i zbliżał się zwolna do rozmawiających.

— Kto to? — spytała szeptem.

— Mój przyjaciel — i prezentował oboje.

Wanda spojrziała śmiało w oczy gościa, z tym odcieniem obojętności, gdy pierwszy raz widzimy

obcego, usłyszawszy jednak rosyjskie nazwisko, chciała przyjrzeć mu się bliżej i spotkała jego badawcze oczy. Te czarne z aksamitnym połyskiem

oczy stropiły ją, zastoniła swoje, że aż cież padł od wielkich rzes i zwróciła się do brata:

— Czekamy z obiadem, — lecz frazes ten wydał się jej tak banalnym, że zarumieniła się i dodała:

— Chodźmy!

Po kilku formalnych pytaniach i odpowiedziach o zdrowiu siostry i szwagra, powiedziała Wanda z lektim naciskiem:

— Umyślnie wysłałam na spotkanie twoje

Władku.

— Domyśliłem się tego, — uśmiechnął się — o co ci idzie?

Kola odsunął się dyskretnie na bok, a Wanda mówiła:

— Zdaje mi się, że ciocia Kulńska nie może sobie dać rady bezemnie... rozumiesz?

— To bieda, że cioci od tygodnia niema w Warszawie — uśmiechnął się — ale może się poradzi jakos.

— Liczę na ciebie, mój Władku.

Zbliżyli się do ganku, na którym stał gospodarz, blondyn krępy, z wesołą, pogodną twarzą. Po zaznajomieniu się z Kola, zwrócił się do Bala:

— Zrobiłeś nam bardzo przyjemną niespodziankę i nie puścimy cię Władku tak prędko.

— Przyjechałem na jeden dzień.

— O tem pogadamy później — zaśmiał się — twój pokój gotowy, a spieszcie się panowie, bo zupa stygnie.

W czasie obiadu rozmowa zesłała naturalnie na politykę i gospodarz mówił:

— Nie wierzę i ja rządowi, ale ta bezwzględność opozycji skrajnych żywiołów oburza mnie... czekajmy, a może naprawdę zbliżamy się do konstytucji.

— Idzie o to słówko „może“, które radykalni chcą zamienić na „musi“.

— Więc zawsze jesteś czerwony — uśmiechnęła się z wyrozumiałością zameżna siostra, ładna, spokojna blondynka.

— Gdybym się zmienił, stałbym się po wypadkach majowych czerwonym, chociażby dlatego, aby zrównoważyć blady strach filistrów.

— To prawda — zaśmiał się Wanda — ach Władku, gdybyś ty słyszał narzekania naszych sąsiadów.

— Napewno nie większe, aniżeli warszawskich i łódzkich przemysłowców — uśmiechnął się Kola.

— Czy obaj jedziecie na tym samym wózku? — spytał gospodarz, a na ich potakujące skłonienie, dodał — Jestem od was starszy o jakie piętnaście lat, dużo widziałem i czytałem, ale takiej anarchii nie znam.

— To walka, nie anarchia — rzekł Kola.

— Walkę nazywasz pan owe napady zbrojne na sklepy monopolowe, — mówił drwiąco — na kasy rządowe...

Kola i Bal spojrzeli porozumiewawczo, a mimowolnie na siebie.

— Bardzo się cieszę, że jestem zdala od tego rodzaju walki. My tu pracujemy spokojnie, wytrwale i zapewne w oczach waszych jesteśmy zacofani burżuje, jak to niedawno Stefci — spojrzął na żonę — powiedziała Wanda.

— To mi się tylko wymknęło — szepnęła zaramieniona.

— Nie wstydź się, zresztą nie dziwię się tobie, boś młoda, ale Władek? ale pan? Czyż nie widzicie przepaści?

— W którą zwali się rząd, — zaśmiał się Władek.

— I wy wraz z nim — rzekł z goryczą — bo kraj, bo naród zostanie. Zepsutego robotnika łatwo wam podnieć, ale chłop was nie słucha. W guberniach fabrycznych możecie dokazywać, ale u nas nigdy wam się nie uda.

Znów spojrzeli na siebie z uśmiechem, co zauważyła Wanda.

— Sądziś może, że tu napady są niemożliwe? — spytał Władek.

— Jestem pewny tego. Najpierw rząd po waszych waryactwach jest bardzo ostrożny, no i nasz chłop każdego rewolucjonistę odda władzom.

— Nieciekawa okolica — zaśmiał się Kola.

— I bardzo — westchnęła Wanda.

Po obiedzie podano czarującą kawę na ganku ogrodowym Kola czuł, że przeszkadza w rodzinnej rozmowie, w stosownej więc chwili rzekł:

— Pozwolicie państwo, że zobaczę kwiaty i ogród, tak dawno nie byłem na wsi.

— Pójdziemy wszyscy — odezwała się gospodyni wstając, a z nią reszta towarzystwa.

Kola z Wandą szli naprzód, a gdy się oddalili zwrócił się Bal do szwagra:

— Przyjechalśmy tutaj, aby widzieć się z adwo-

katem w sprawie sumy hipotecznej naszego wspólnego przyjaciela.

— Na jakim majątku?

— Na Landwerowie... podobno źle.

— Licytacja naznaczona — objaśniał gospodarz — trzeba się spieszyć.

— Tyle razy była naznaczana — zaśmiała się pani — i zawsze wybrnął.

— Ale może i utonąć — rzekł Władysław i w obawie, aby Kola się nie zdradził, zawołał do niego: Wiesz Kola, ta suma hipoteczna bardzo niepewna.

— Suma? niepewna? — zdziwił się Kola.

— Ta na Landwerowie — dodał Władysław z naciskiem.

— A, wiem.. i cóż?

— Musimy być dzisiaj u adwokata w Oro-wiecku.

— Więc jedźmy.

— I ja z tobą Władziu — zawołała Wanda — mam tam sprawunki.



...,Otworzyły się nagle drzwi i wpadła Wanda, chwyając oddech z trudem.

— Ty?... Będziesz się nudziła, bo jedziemy w interesach prawnych.

Siostra, widząc zasmuconą minę Wandy wstała się za nią:

— Zdaje mi się, że Wandzia nie będzie ci przeszkadzała. Panowie pójdziecie do adwokata, a ona za sprawunkami swojemi i mojemi.

Wprawdzie Władysław obawiał się domyślności swej siostry, lecz w równej mierze i podejrzeń szwagra, powiedział też pół żartem:

— Wobec sprawunków waszych, rozwiły się moje obawy o nudy... Czy możesz dać mi konie na godzinę?

— Są na twoje usługi i dobrze, że wcześniej jedziesz — spojrzął na zegarek, wskazujący pół do czwartej — możesz dzisiaj spotkać znajomych.

— Dzisiaj?

— Jarmark w mieście.

— Ach tak!.. tem lepiej. Teraz pójdziemy uporządkować papiery.

Gdy znaleźli się sami w pokoju, rzekł Kola do Bala z uśmiechem:

— Ależ twoja siostra gorąco kapana, — i na zdziwione jego spojrzenie, dodał — przy pierwszej sposobności spytała mię zaraz czy jestem wasz?

— A ty Kola?

— Trudno mi było tłumaczyć jej, co nas dzieli i łączy, więc powiedziałem, że jestem wasz.

— Pamiętaj o swej roli — zaśmiał się Władysław — bo ona nienawidzi kłamstwa i przepadniesz w jej opinii.

To mówiąc wyjmował ze swego kufereka dwa kompletne mundury wojskowe, kilka paczek nabo-
jów, brzojaka i kawałek czerwonej materyi. Kola widząc to, spytał zdziwiony.

— A tobie na co te rzeczy?

— Do maskarady — śmiał się — rozłóż Kola pled, zawinę te drobiazgi, bo kuferek zbyt widoczny.

W chwili, gdy Władysław składał mundur, a Kola trzymał czerwone płótno z białymi wyszytymi literami P. P. S. otworzyły się nagle drzwi i wpadła Wanda, chwyając oddech z trudem:

— Władziu... ktoś do ciebie... w sprawie ważnej.

Obydwoj starali się ukryć te rzeczy, ale jak to bywa w pośpiechu, robili to niezdarne i Wanda dojrzała mundury. Władysław, narzucając pled na rzeczy, spytał:

— Gdzie on?

— W ogrodzie, gdyż tam kazałam mu iść... aby go służba nie widziała.

— Idę już — i wyszedł z pokoju, a tuż za nim postępowała Wanda, pytając:

— Czy mówiłeś ze Stefcią i z nim, że jądę do Warszawy?

— Nie miałem czasu.

— Ale Władziu, ja muszę wyjechać, przecież sam słyszałeś dziś przy obiedzie..

— Co takiego?

— Ich przekonania, ich myśli i nadzieje... a dziś oboje byli wstrętni, ale gdy przyjadą sąsiedzi... — westchnęła głęboko — nie, nie wytrzymam tu dłużej.

— Dobrze, dobrze... pomówimy później... gdzie on?

— W prawej alei.. widzisz?

Z pierwszego spojrzenia poznał Młota, zwracając się więc do Stefci, rzekł może zbyt pośpiesznie:

— Zostaw nas samych — i szybko poszedł do stojącego w miejscu.

— Co się stało towarzyszu?

— Zaarrestowano dwóch naszych.

— Gdzie? kiedy?

— Pod Człowem, zadrwali ze strażnika, pytającego o paszport. Mogliśmy byli ich odbić, lecz obawialiśmy się o sprawę w Oro-wiecku.

— Dobrze zrobiliście... Czy areztowani mają broń przy sobie?

— Miel, chyba że porzucili. I za nami szedł strażnik, rozporządziłem, aby szli pojedynką towarzysze.

— To dobrze... dziś jarmark w mieście, ułatwi nam spotkanie.. za godzinę najdalej będę na miejscu. Czy który z towarzyszy służył w wojsku?

— Wiem o Marcelku, a prawda i Michał także

— Do widzenia towarzyszu! —

podał mu rękę i wskazał drogę.

Gdy wrócił do pokoju zastał rzeczy spakowane, a na pytający wzrok Koli mruknął:

— Dwóch areztowano.

— To źle.

— O ile źle się skończy — uśmiechnął się, a widząc zajazdzający powóz, dodał szybko: spieszymy się Kola.

Dwór Żglińskich był oddalony od miasta o cztery wiorsty Jechali niemal w milczeniu, jeden tylko Kola starał się podtrzymać rozmowę, która rwała się co chwila.

Dopiero przy samym niemał wjeździe do miasteczka, odezwała się Wanda po francusku do brata:

— Czy nie masz mi do powiedzenia?

— Ja?... Nie rozumiem pytania.

— Jesteśmy przecież sami swoi... przyjechałeś w sprawie ważnej i nietylko nie żadasz mojej pomocy, ale nawet nie mówisz o co idzie — kończyła ze źle ukrytym żalem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z krainy „najdalszego zachodu“.

Od wieków ciągnąca się walka między światem muzułmańskim a chrześcijańskim przybiera rozmaite formy, ale nigdy nie ustaje. Gdy potęgę chanatów tatarskich, oraz państwo Osmanów, udało się Europie przełamać — przeważnie dzięki bohaterskim wysiłkom Polaków — uwaga jej zwróciła się ku wybrzeżom północnej Afryki gdzie Islam usadowił się stale już od dwunastu wieków.



Z krainy »najdalszego zachodu«: Wojownicy z pokolenia Czeraga.

Po ostatecznym usunięciu Maurów z Hiszpanii w końcu XV stulecia, wyznawcy Mahometa cofnęli się do Afryki północnej, gdzie niepodzielnie panowali aż do 1830 roku, tj. do czasu, gdy Francuzi zdobyli siedlisko piratów morskich, Algier; później przysłała kolej na Egipt, którego khedyw sprawuje teraz tylko nominalnie władzę pod dozorem Anglików, jakoteż na Tunis, gdzie bej tamtejszy rządzi wedle wskazówek francuskiego rezydenta.

Pozostał niezawisłym jeszcze tylko sułtanat marokkański, czyli „Maghreb al asska“ (Najdalszy Zachód) tak nazywany przez samych Marokkańczyków. Zbyt dobrze znana jest naszym Czytelnikom ostatnia wspólna akcja mocarstw, poświęcona temu krajowi, a zakończona międzynarodową konferencją w Algieras — abyśmy potrzebowali szeroko o tem się rozpisywać. Przypominamy tylko tedy, że sułtanat marokkański mierzy 440 000 km. i liczy 10 milionów mieszkańców mahometan i że od lat prawie czterdziestu stanowi pewnego

rodzaju jabłko niezgody między interesowanymi państwami europejskimi, z których każde pragnęłoby także zapewnić sobie wpływy najdalej sięgające.

Z natury rzeczy wynika, że Francja, której kolonia Algier sąsiaduje bezpośrednio z Marokkiem, i Hiszpania, oddzielona odeń tylko wąską cieśniną Gibraltarską, posiadają najwięcej praw do zajmowania się kwestyą marokkańską. Dalej idzie Anglia, utrzymująca żywe stosunki handlowe z państwem Abdol Azisa, obecnego sułtana, który nosi tytuł: „Emir el Mumenik“ tj. „Księcia wiernych“. Niespodziewanie jednak okazały Niemcy wielkie zajęcie się Marokkiem i pragnęły odegrać w koncercie europejskim, zajmującym się jego sprawami, rolę pierwszorzędną.

Na szczęście jednak dla innych interesowanych poniosły Niemcy sromotną klęskę na konferencji w Algieras, której postanowienia powierzono do wykonania Francji i Hiszpanii. Przedewszystkiem rozchodzi się o przywrócenie ładu, przynajmniej w nadbrzeżnych okolicach Marokka, a mianowicie w Tangerze, gdzie koncentruje się handel morski tego państwa i gdzie rezydują przedstawiciele państw zagranicznych. W tym celu wysłana już zo-

stała mieszana eskadra francusko hiszpańska, pod wodzą admirała Tonchara, na wody marokkańskie.

Rząd sułtana Abdol Azisa zapewnia ciągle, że poskromi bułtowniczego gubernatora Rajzulę, który wobec Europejczyków zajmuje bardzo nieprzyjazne stanowisko, a którego nazwisko tyle razy było powtarzaniem ostatnimi czasy — dotąd tego jednak nie uczynił. Wysłano wprawdzie przeciw niemu oddziały regularnych i nieregularnych wojsk sułtańskich, ale działania ich nie odniosły skutku. Owszem, wedle ostatnich doniesień dzienników, Rajzuli postanowił bronić się do ostatka przeciw wojskom władzy legalnej.

Przy większym w Marokko, aniżeli nawet gdzieindziej, fanatyzmie religijnym ludności i nieawisłości do Europejczyków, obawiać się można, iż ta walka między sułtanem a bułtowniczym gubernatorem może pociągać za sobą poważne następstwa i zmusić interesowanych do wystąpienia z całym naciskiem w obronie zagrożonych interesów państw europejskich oraz ich poddanych.

Z racji właśnie tego, że oczy Europy zwracają się już ku krainie „Najdalszego Zachodu“, podajemy Szau. Czytelnikom kilka ciekawych zdjęć z Marokka, a mianowicie widok portowego miasta Tangera, a także typy rządowego wojska marokkańskiego, które teraz właśnie ściiera się z Rajzulim.

Ostatnia bitwa, jaką stoczył on z wojskami sułtana, wypadła jednak dlań niepomyślnie, tak, że musiał uciec w góry otaczające Tanger.



Z krainy »najdalszego zachodu«: Kawalerzysta z oddziału Kaidu Mriki.

70-cioletni jubileusz służby wojskowej.

Książę Ludwik bawarski, liczący obecnie siedm-dziesiąt lat życia, obchodził tymi dniami rzadki, bo 70-cioletni jubileusz służby wojskowej, po policzeniu mu podwójnie czasu spędzonego na wojnie. Tego rodzaju kombinacja stała się jedynie dlatego możliwą, ponieważ jubilat już w szóstym roku życia mianowany został porucznikiem. Jest on starszym bratem księcia Karola Teodora, słynnego okulisty, na którego rzecz zrzekł się senio-



70-letni jubileusz służby wojskowej: Ks. Ludwik Wilhelm bawarski.

ratu księżęcego domu bawarskiego Wittelsbachów, będącego młodszą linią linii królewskiej, z której pochodzi nieszczęśliwy obłąkany król Otto i w jego imieniu rządzący Bawaryą ks. Luitpold.

Jubilat walczył w r. 1866 po stronie Austrii przeciw Prusom i był dwa razy morganatycznie żonaty: raz z panną Henryką Mandel, która otrzymała tytuł baronowej Wallersee, drugi zaś raz z panną Antoniną Barth, podniesioną później do godności baronowej Bartholf.



Z krainy »najdalszego zachodu«: Dowódca wojsk nieregularnych marokkańskich, Kaid Khaluff i jego chorąży.

Organizacja mieszczan lwowskich.

Przeświadczenie o potrzebie asocjacji zrodziło powstały niedawno we Lwowie „Związek samoistnych rękodzielników, kupców i przemysłowców”. Celem tej instytucji, opartej na osobnym statucie, jest obrona i poparcie wspólnych interesów samoistnych kupców, rękodzielników i prze-

państwowych, krajowych powiatowych i gminnych, popieranie stowarzyszeń zarobkowych, ułatwianie kredytów, przez wydawnictwo fachowych czasopism, zakładanie czytelni, urządzenie odczytów i wykładów itp.

Myśl zawiązania „Związku” została przez ogół mieszczaństwa lwowskiego przyjęta bardzo życzliwie i już w dniu konstituowania się, liczył „Zwią-

duego z zawodowych dziennikarzy. jest tygodnik „Gazeta mieszczańska”, której numer pierwszy pojawił się w zeszłym tygodniu.

Oby te pierwsze objawy zjednoczenia się mieszczaństwa lwowskiego, były zapowiedzią odrodzenia się jego, powrotu do dawnej wspaniałości, za-
możności i znaczenia.



Z krainy »najdalszego zachodu«: Nieregularna kawaleria marokańska.

mysłowców przez wzajemne wspieranie wszystkich członków w sprawach, odnoszących się do handlu, rękodziela lub przedsiębiorstwa przemysłowego, dalej solidarne reprezentowanie stowarzyszonych na zewnątrz, praca nad wytworzeniem łączności między członkami, nad utrzymaniem i podniesieniem godności stanu i poczucia obywatelskiego, wreszcie działanie około podniesienia stanu ekonomicznego stowarzyszonych. Dążyć do tych celów ma „Związek” przez urządzenie zebrań, celem omawiania ważnych bieżących spraw ekonomicznych i społecznych, przez urządzenie wieców w tych sprawach, przez wnoszenie petycji i memoriałów, tudzież wysyłanie deputacji do władz

zek” 257 członków. Na pierwszym zgromadzeniu wybrano prezesem znanego przemysłowca p. Michała Walichiewicza, zastępcą p. Juliana Zgórskiego, skarbnikiem p. Bolesława Mikulińskiego, a sekretarzem p. Stanisława Getritza, których widać na naszej fotografii wśród członków wydziału.

* * *

Za pierwsze zadanie wziął sobie wydział „Związku” podjęcie wydawnictwa własnego organu, choćby tylko tygodnika i w tym celu wybrano komitet redakcyjny, złożony z pp. Cirina, B. Mikulińskiego, J. Nenmana i F. Ohly'ego. Owocem pracy tego komitetu, który do pomocy przybrał sobie je-

Krwawy dramat.

Znown jeden wieczór trwożgi przeżyła Warszawa, a w szczególności jej dzielnica Grzybowska Zaczęło się wypadkiem niemal codziennym w tych czasach na bruku warszawskim. Mianowicie około siódmej wieczorem ul. Grzybowską przechodziło dwóch szeregowców dywizyjny żandarmowski w stronę swych koszar. Na rogu tej ostatniej rozległo się nagle kilka strzałów rewolwerowych, które padły w chwili, gdy żołnierze minęli jakichś czterech młodych ludzi. Kule ugodziły obu żandarmów: jeden z nich Fiodorow raniony w tył głowy, runął na bruk, drugi z raną lżejszą zdołał jeszcze dobiec do koszar, gdzie o zajściu dał znać towarzyszom. Ci, jakkolwiek sprawcy musieli natychmiast przepaść, wybiegli na ulicę z obnażonymi pałaszami i jęli godzić w spotkanych po drodze przechodniów, szkając widocznie sprawców.

Na ulicy wszczął się wówczas potloch niedający się wprost opisać zwłaszcza, że w ulicę Goońną i Grzybowską wpadły też i oddziały konnicy Ludzie w pół przytomni wbiegali do pierwszych lepszych drzwi domów, kryli się do piwnic, na poddasza. Wpadali do prywatnych mieszkań i tym sposobem w kilkanaście minut cała dzielnica zaalarmowana została straszem zajściem, rozgrywającym się w szczególności na rogu ulic Grzybowskiej i Ciepłej. Wkrótce po strzelaninie zjawiała się tam policja i obok trupa Fiodorowa zastała na bruku szereg osób poranionych, do których niezbędnie było potrzeba zawezwać pomocy pogotowia ratunkowego. Przed przybyciem tegoż zmarł na miejscu



Organizacja mieszczan lwowskich: Grupa członków nowopowstałego we Lwowie »Związku samoistnych rękodzielników, kupców i przemysłowców« wraz z prezydym.

38 letni zegarmistrz z ul. Grzybowskiej, garbusek Hagel, który miał przerąbaną czaszkę. Do szpitala przywieziono pogotowie ratunkowe po opatrzeniu ciężkich ran, Józefa Jackowskiego. 22 letniego szewca z ul. Grzybowskiej który miał 3 rany cięte w głowie i 2 w twarzy. Lekarz pogotowia stwierdził również ciętą ranę głowy u 19 letniej służącej Blechmanówny. Z podobną raną otrzymaną na Grzybowskiej, zgłosił się następnie do lokalnego pogotowia jeden z mieszkańców ulicy Gnojnej. Reszta osób lżej rannych sama szukała pomocy u felczerów najbliższych i w szpitalu Ewangelickim.

Znów małżeństwo w domu Hohenzollernów.

Cesarz Wilhelm II gi zeni na gwałt swoich synów. Nie tak dawno temu, bo niespełna przed dwoma laty, następca tronu ks. Fryderyk Wilhelm poprowadził do ołtarza nadobną księżniczkę Cecylię meklemburską; wkrótce zaś wstąpił w jego ślady brat młodszy, ks. Eitel Fryderyk, zeniąc się 27 lutego 1906 z księżniczką Zofią Karoliną oldenburską. Obecnie wreszcie czwarty z rzędu syn cesarza-mowcy, ks. August Wilhelm, urodzony w r. 1887, zaręczył się w ostatnich dniach ubiegłego roku z młodszą od siebie zaledwie o kilka miesięcy księżniczką Aleksandrą Wiktoryą z domu Sleszwig Holsztyn Sonderburg Glücksburg, będącą jego rozlenieciotecną siostrą, gdyż jej matka jest młodszą młodszą siostrą cesarzowej niemieckiej, Augusty Wiktoryi, z domu księżniczki Sleszwicko-Holsztyńskiej.

Dziś podajemy portrety obojga narzeczonych. Ks. August Wilhelm, w myśl tradycji Hohenzollernów, przerzawszy chwilowo służbę wojskową w 1 pułku pieszym grenadyerów gwardyi, jest słuchaczem uniwersytetu w Bonn, oddając się z zamiłowaniem życiu prawdziwego niemieckiego „bur-sza”.

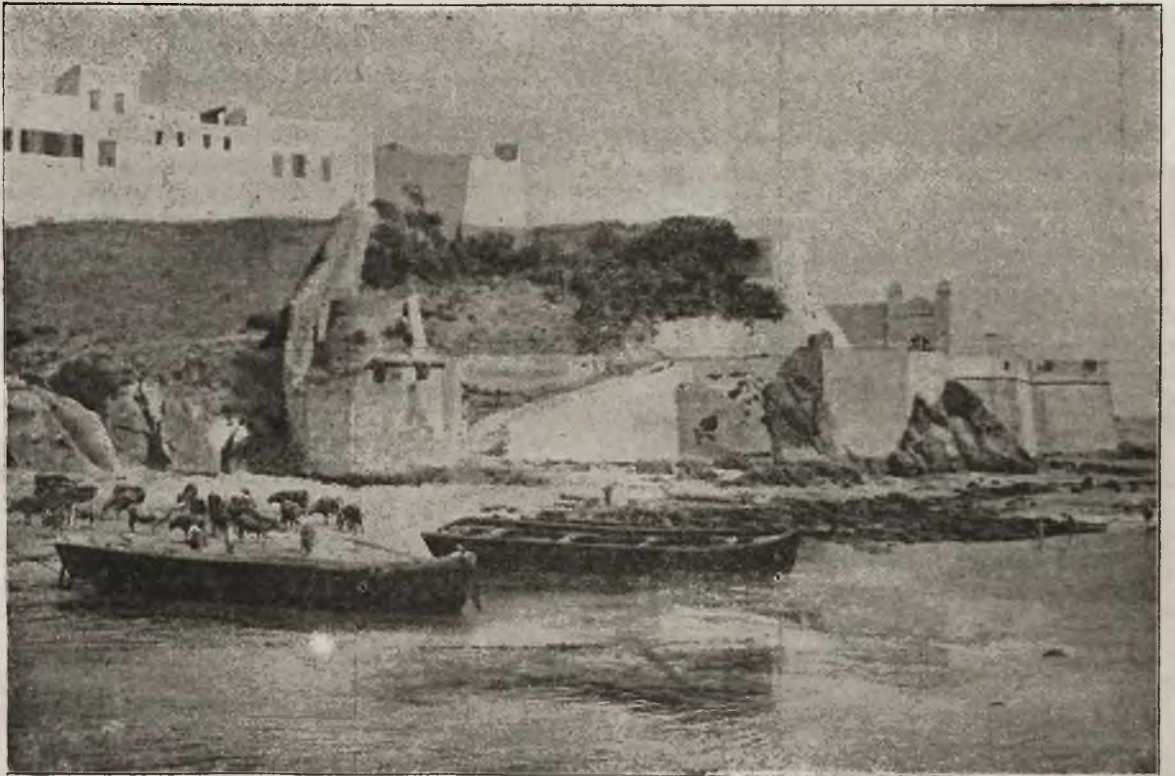
Echa rządów absolutnych na Węgrzech.

Po ogromnych zabarzeniach i obustronnych kompromisach między Koroną a opozycją udało się wreszcie utworzyć na Węgrzech rząd parla-

mentarny. Sądzone powszechnie, że od tego czasu zapanować powinien w krajach korony św. Szczepana — przynajmniej na pewien czas — spokój idylliczny. Tymczasem dzieje się inaczej w ojczyźnie Arpada.

Opozycja, niejednolita z swym składzie, skoro

dapeszteńskiej zapewnił on króla słowem honoru, że nie wiedział wcale o zamiarze komisji prawniczej Sejmu węgierskiego, postawienia w stan oskarżenia gabinetu gen. Fejervary'ego, który tak wybitną rolę odegrał w najświeższych dziejach Węgier, a działał w myśl woli i wskazówek Korony.



Z krajiny »najdalszego zachodu«: Przystań w Tangerze.

przyszła do władzy, nie daje ministrom, wysłanym z jej łona, dostatecznego poparcia, owszem występuje nawet przeciw niektórym z nich wrogo.

Ile można liczyć na przyjaciół, a właściwie sprzymierzeńców politycznych — doświadcza tego na sobie obecnie minister sprawiedliwości na Węgrzech. Geza Polonyi. Wedle doniesień prasy bu-

Tymczasem na naradzie ministeryalnej, jaka odbyła się pod przewodnictwem króla, zarzucił tenże Polonyi'emu, iż wbrew jego oświadczeniom, istnieje zamiar postawienia Fejervary'ego, wraz z kolegami, w stan oskarżenia. Polonyi jeszcze raz zapewnił monarchę, że nie wie o czemś podobnym i zobowiązał się całą tę drażliwą aferę zażegnać



Krwawy wieczór: Po zamachu na żandarmów na ul. Grzybowskiej w Warszawie.

Dotąd jednak nie udało mu się tego uczynić, tak, że jego dymisya wydaje się nie ulegać kwestyi.

Opozycja węgierska zbyt czuła się dotkniętą rozwiązaniem *manu militari* parlamentu, aby zrzec się „słodkiej zemsty“ nad człowiekiem, który tego dokonał, tj. nad generałem Fejervary'm. A że z tej okazji padnie także ofiarą Poloni to niewiele obchodzi jej przywódców, bo przecież nie braknie wśród niej kandydatów do teki ministra sprawiedliwości.



Znów małżeństwo w domu Hohenzollernów: Aleksandra Wiktorya, księżniczka szlachecko-holsztyńska.

Śmierć Polaka w służbie francuskiej.

Na ziemi francuskiej, która tak gościnnie przyjmowała niegdyś rozbitków z naszych powstań zbrojnych, narodził się i wyrósł niejeden Polak, który zdobył sobie dobrze zasłużone imię w przybranej ojczyźnie i przynosił prawdziwy zaszczyt polskiemu nazwisku, jakie nosił.

Do rzędu takich właśnie Polaków, którzy w służbie odznaczyli się niepospolicie, należy bezwątpienia świeżo zmarły w Kanei na Krecie pułkownik 139-go francuskiego pułku piechoty, a zarażem dowódca tamtejszego garnizonu między narodowego, Juliusz Klemens Władysław Lubański.

Urodzony z rodziny emigranckiej w 1854 roku, rozpoczął śp. Juliusz swą karierę wojskową, wkrótce po wojnie francusko-pruskiej, przeszedłszy szkołę sztabu generalnego. Następnie służył w oddziałach wojsk kolonialnych a potem przez pewien czas był profesorem wyższej szkoły wojskowej w Saint Cyr. Odznaczył się on wielce w Indo-Chinach, gdzie przebywał lat kilka i sporządził znakomitą mapę tej ważnej kolonii francuskiej. W nagrodę za to został mianowany pułkownikiem w 1901 r., obecnie zaś miał zostać mianowany generałem brygady.

Zmarły, któremu dzienniki francuskie poświęcają pełne sympatyj wspomnienia, a którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma, był przedtem wytwornym literatem, pisującym bardzo poczytne szkice, oparte na obserwacji życia wojskowego, w wielu najpopularniejszych pismach francuskich.

Jubileusz wroga polskości.

Polacy pod panowaniem pruskim a mianowicie ta ich część, która znajduje się w tem fatalnem położeniu, że należy do diecezji wrocławskiej, mają do walczenia tam nie tylko z „dziedzicznym wrogiem“ polskości: rządem pruskim, ale także z głową miejscowej katolickiej hierarchii kościelnej — kardynałem, księciem-biskupem, dr. Jerzym Koppem. Żwwo tkwią w pamięci każdego Polaka jego wystąpienia przy każdej sposobności i jego ogólna działalność, nacechowana brutalną nienawiścią do wszystkiego, co polskie — abyśmy potrzebowali ją na tem miejscu szerzej omawiać. Wystarczy tedy wspomnieć tu niesłychany nacisk, wywierany przezeń pod względem politycznym na polskich księży śląskich, jaki jest sprzeczny nie tylko z duchem czasu, ale także z tradycjami Kościoła katolickiego, który trzyma się zasady św. Augustyna: *in dubiis libertas*. A przecież cóż może być więcej „wątpliwem“, jak polityka i wszystkie związane z nią sprawy?

Pragnąc jak można najdotkliwiej zaszkodzić sprawie polskiej na Górnym Śląsku, J. Eminencya gnębi nie tylko duchownych na stanowiskach, których podejrzewa o „wielkopolską agitację“, ale także tych polskich kleryków, co we wrocławskim seminarjum duchownem zdradzają najmniejsze nawet chęci wyuczenia się prywatnie języka polskiego. Ci przyszli kapłani, rozumiejąc dobrze, iż tylko w rodzinnym języku można katechizować i nacażać lud sobie powierzony, działają w myśl woli Kościoła i zdrowego rozsądku, ale napróżno... Dziś już — piszą ze Śląska Górnego — wygłasza się tam często kazania w gwarze, której lud wcale nie rozumie. W przyszłości będzie jeszcze gorzej, a coraz częściej będą powtarzać się fakty, że rodzice świeżo wyświęconych księży nie mogą się z nimi porozumieć, bo nie władają dostatecznie językiem niemieckim, a synowie księży językiem pol-

skim. Co za wpływ mogą mieć tacy duszpasterze na rdzennie polską ludność Górnego Śląska, powierzoną swej pieczy?

Dodać przytem należy, że biskup wrocławski jest w wyjątkowem położeniu, ponieważ część jego diecezji, tj. Śląsk anstryacki, leży w monarchii Habsburgów. I tutaj także nieszczęsny wpływ kardynała Koppa daje się oddawna tak boleśnie nam Polakom odczuwać.

Dnia 8 b. m. obchodzi ks. dr. Jerzy Kopp, ksią-



Znów małżeństwo w domu Hohenzollernów: August Wilhelm, książę pruski.

żę biskup wrocławski, zasiadający na niegdyś czysto polskiej stolicy biskupiej, a który zasłużył obecnie w zupełnej mierze na tytuł „kardynała H. K. T.“, swój 25-letni jubileusz biskupi Urodził się on 1817 r. w Hanowerze, na księdza wyświęcony został w 1862 r., a na biskupa w Fuldzie w 1882 roku; w pięć lat później został przeniesiony do Wrocławia. Purpurę kardynalską otrzymał 1893 roku z rąk Leona XIII który miał w nim gorliwego wykonawcę swej pojednawczej polityki wobec rządu nad Srebrną.



Zjazd Kółek rolniczych: Uczestnicy zjazdu Kółek rolniczych powiatu lwowskiego.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Niechże pan teraz udowodni, że się pomyliłam.

Kati Scaton zostawiła Arteveltda w towarzystwie Leonory, a sama zajęła się innymi gośćmi.

Arteveldt myślał, że natrafi na wiejską dziewczynę, którą od razu przejmie podziwem dla siebie i zdobędzie z łatwością sympatię, ale wkrótce się przekonał, że Leonora jest istotnie niepospolitą dziewczyną, że tak zwane flirtowanie jest dla niej wstrętne. Na szablonowe nmięgi i komplementy, odpowiadała mu taką majestatyczną powagą, taką dystygowaną stanowczością, że musiał od razu zmienić ton rozmowy, nie chcąc się narazić, aby go samego zostawiła.

Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i dlatego też po raz pierwszy w życiu doznał uczucia, jakiego nie doznawał przedtem nigdy w towarzystwie żadnej innej kobiety.

Było to zapewne rozbudzenie się w nim miłości prawdziwej, która zawsze tylko z głębokiego szacunku dla kobiety wyrasta.

III.

Zagadkowa kradzież.

Następnego dnia siedział Neil Stuart po południu w kawiarni i przeglądał dzienniki, gdy niespodzianie położył mu ktoś rękę na ramieniu. Odwrócił się zdziwiony i spostrzegł Arteveltda.

— Ach, to pan — rzekł Stuart z odcieniem niezadowolenia.

— Przepraszam, że panu przerwałem, ale sprawa bardzo ważna.

To rzekłszy, usiadł naprzeciw Stuarta i po cichu mówił dalej:

— Wczoraj popełniono niezwykłą kradzież, dlatego chciałbym prosić o pańską interwencję.

— Prosiłem pana kilkakrotnie, abys panu nie zapomniał o tem, że tu w Chicago nie jestem agentem policyjnym, tylko turystą, jak wielu innych. Przyrzekłeś mi to pan uroczyście.

— I przyrzeczenia ściśle dotrzymuję. Do tej chwili nikt jeszcze odemnie się nie dowiedział o pańskim zawodzie. Ponieważ owa kradzież jest bardzo zagadkowa, więc sądziłem, że może pan zechce, choćby dla własnej przyjemności zająć się nią z właściwą sobie zręcznością. Proszono mnie, ażebym wezwał najrzeczniejszego agenta tutejszej policyi, ale proszę się nie dziwić, że znając pana z opinii, która tu z New Yorku dotarła, przede wszystkim do pana się zwróciłem. Jeżeli sprawiłem tem przykrość, to bardzo przepraszam.

Neil Stuart był istotnie agentem z zamiatowania, więc pomimo swojego *incognito*, które w Chicago zachowywał, skłonił się od razu do zajęcia się tym niezwykłym wypadkiem. Siedli zaraz do powozu i pojechali.

— Niechże mi pan opowie, jak się to stało? — rzekł Stuart.

— Przyjaciół mojej matki, pan Durand, sprzedał wczoraj dom na przedmieściu i otrzymał za niego 25 000 dolarów. Miał je dziś odnieść do banku, ale mu je w nocy w zagadkowy sposób ukradziono.

— Pan Durand? Czy to nie ten, który ma bardzo piękną córkę?

— Czy panu może mówiłem o niej?

— Nie panie, ale już o niej słyszałem, a nawet i o tem mi mówiono, że pan podobno ma jakieś zamiary...

— Ej, często więcej się mówi, niżeli potrzeba. Ot, bywał w tym domu, panna ładna, nie przeczę, ale żadnych nie mam zamiarów. Zresztą, ileż to pięknych panien na świecie, z iloma się rozmawia, ilu pannom się nadskakuje, a jeszcze nie wynika z tego, aby zaraz myśleć o zaręczynach. Zresztą są o wiele piękniejsze. A — panie Stuart, co za szkoda, że pan nie byłeś wczoraj u Rathvenów.

— Pewnie jakaś nowa piękność?

— Rzeczywiście niezwykła piękność, ale i niezwykła osoba.

— Jak też długo się będzie panu podobała?

— A zawsze pan złosliwy. To tylko powiem, że jej z innymi porównywać nie można.

— Jakże pan się dowiedziałeś o tej kradzieży?

— Wczoraj wieczorem miałem być u Durandów, zapomniawszy, że to imieniny pani Rathven, dziś więc poszedłem usprawiedliwić się i właśnie trafiłem na tę chwilę, kiedy Durand, chcąc odnieść pieniądze do banku, przekonał się, że mu je skradziono. Ale oto właśnie jesteśmy na miejscu i zaraz się pan dowie wszystkiego.

Zatrzymali się przed wspaniałą willą. Portyer wprowadził ich do westibulu, skąd po szerokich, marmurowych schodach adali się na piętro do bogato i gustownie urządzonego gabinetu, gdzie za chwilę zjawił się Durand.

— Przedstawiam panu najznakomitszego agenta z New Yorku, pana Neil Stuart — rzekł Arteveldt.

Durand wyciągnął ku Stuartowi serdecznie rękę na powitanie.

— Szczerze się cieszę, że pana poznaje; tyle o panu czytałem i słyszałem, że poznanie pana muszę nazwać istotną przyjemnością.

Neil Stuart już nieraz słyszał takie wyrazy, bo istotnie miał nietylko powszechnie uznanie, ale i prawdziwy miał sobie zdobyć szacunek dla siebie. Odpowiedział też na tę uprzejmość ukłonem grzeczny, ale z takim wyrazem twarzy, jakby przyjmował to, co mu się należało.

— Miło mi będzie służyć panu, jeżeli pan tego sobie życzy — rzekł Stuart.

— Ależ — bardzo proszę i z najzupełnijszym zaufaniem powierzam panu całą sprawę.

— Jeżeli tak, to proszę pozwolić, abym przede wszystkim zobaczył miejsce, w którym kradzież spełniono.

— Służę panu. Pieniądże miałem zamknięte w stoliku w pokoju sypialnym. Może panowie obydwaj ze mną pozwolą?

Stuart zbadał zamki u drzwi, zasłony u okien, podnosił portyery, a nawet przypatrywał się dokładnie tapetom; zbadał też przyległe pokoje, a potem usiadł na fotelu, zakrył twarz rękoma, jakby zatopił się w myślach.

Nie przeszkadzano mu w tem, nie przerywano zamyślenia. Nagle Stuart powstał i spytał przedko:

— Wielu panu ma służących?

— Siedmioro — odpowiedział Durand, zdziwiony nieco tak obcesowem zagadaniem.

— A wiele osób należy do rodziny?

— Troje, oprócz mnie, a to: moja żona, córka i jej towarzyska.

— O której godzinie otrzymał pan pieniądze?

— Koło szóstej wieczorem.

— Czy pan je zaraz zamknął?

— Natychmiast, skoro tylko posłaniec się oddalił.

— Czy widział kto, jak pan pieniądze zamknął?

— Nikt zgoła. Byłem sam jeden w pokoju.

— Czy pan wspominał coś w gronie rodziny o tych pieniądzech?

— Tak. Zaraz siedliśmy do obiadu i mówiłem o tem przy stole, ale nie było żadnego służącego.

— Czy się pan nie myli?

— Zapewniam pana, że nie było nikogo ze służby.

— A więc tylko pańska żona, córka i jej towarzyska wiedziały o tem?

— Tak panie.

Stuart ponownie się zamyślił, usiadłszy w fotelu, a po chwili wstał przedko i rzekł:

— Jeżeli pan chce odzyskać pieniądze, proszę mi pozostawić zupełną swobodę działania.

— Ależ proszę czynić, co pan uzna za stosowne. Powiem panu szczerze, że nie tyle mi zależy na odzyskaniu pieniędzy, ile na tem, aby wykryć tak zręcznego i zuchwałego złodzieja. Co pan o tem sądzi? Wszak to niezwykle wydarzenie?

— W tej chwili nic jeszcze powiedzieć nie mogę. Ale, jeszcze jedno. Czy wie kto u pana w domu o tem, kto jestem i po co przybyłem?

— Nie, panie. Moja córka jest w swoim pokoju, a moja żona tak się przeraziła tym wypadkiem, że dostała silnego bólu głowy i nie wychodzi z pokoju.

— Czy nie mógłbym dzisiaj być u pana na herbacie, oczywiście, jako pański znajomy.

— Ależ i owszem, bardzo proszę. Bądźcie panowie łaskawi przyjść razem, a przedstawię pana mojej rodzinie, jako przyjaciela pana Arteveltda.

— A, to bardzo dobrze. Teraz pana pożegnaj, a za pół godziny przysięgę tu panu agenta policyjnego, który wybada pańską służbę. Niech pan służbę uprzedzi, że agent przybędzie. A gdy przyjdę na herbatę, niech pan będzie łaskaw pamiętać o

tem, że jestem tylko przyjacielem pana Arteveltda. Jeszcze jedna prośba. Gdy będziemy przy stole, zechce pan coś nadmienić o spełnionej kradzieży, ale dopiero wtedy, gdy przekroję na pół kromkę chleba.

— Co tego, to już nie rozumiem — rzekł Durand nieco zakłopotany, a nawet niezadowolony.

— A jednak bardzo pana o to proszę i zapewniam, że pan tego nie pożałuje.

— Spełnię i to, chociaż nie nmiem sobie zdać sprawy, na co to panu potrzebne.

— Dziękuję panu bardzo, a teraz do widzenia.

Durand pożegnał nściśnieniem ręki Stuarta i dodał:

— Czekamy z herbatą.

W pół godziny przybył zapowiedziany przez Stuarta agent policyjny. Wyglądał na człowieka dość pospolitego, coś w rodzaju zaniedbanego rekrutera. Figura przy tem niemiła, o rudych włosach i rudej brodzie, o ruchach ciężkich i niezgrabnych.

Wszędzie zaglądał, obejrzał dokładnie wszystkie pokoje, a wreszcie udał się do kuchni, gdzie cała służba, bardzo zatrwożona, zgromadziła się około starej kucharki, jakby kurczęta pod skrzydłami kury.

Mędzy służbą popłoch był wielki, bo właściwie żadne z nich jeszcze nie miało sposobności mieć sprawy z policyją. Ale jakiś duch wstąpił we wszystkich, gdy ów agent policyjny, którego się tak bardzo lękano, okazał się wielce przyjacielskim i rozmownym człowiekiem. Rozsiadł się swobodnie w kuchni, zartował z pokojówkami, powiedział im kilka komplementów, a tylko jakby od niechcenia zaczął rozmawiać o dokonanej kradzieży.

Tem postępowaniem ośmielona służba, zaczęła swobodnie wypowiadać różne przypuszczenia, agent zaś słuchał cierpliwie i wpatrywał się spokojnie w mówiących. Potem pożegnał służbę i udał się do Duranda.

— Ze służbą już się załatwiłem, a teraz proszę bardzo, abym się mógł widzieć z pańską córką i jej towarzyszką. Jak się nazywa towarzyszka pańskiej córki?

— Nelly Brown.

— Jak dawno jest u państwa?

— Około dwóch miesięcy.

— Czy państwo z niej zadowoleni?

— Muje się bardzo podoba, ale moja żona czuje do niej jakąś antypatyę.

— Niechże pan będzie łaskaw poprosić córkę i panny Brown.

Durand zadzwonił, wszedł służący.

— Poproś moją córkę i powiedz, żeby przysłała z nią panna Brown.

— A czy pańska córka okazuje wiele życzliwości towarzyszcze?

— Zdaje mi się, że ją bardzo lubi i ceni.

— Mimo tego, że widzi u matki antypatyę? Czy stara się tę antypatyę złagodzić?

— Zachowuje się wobec tego zupełnie obojętnie.

Po chwili zjawiła się Nelly Brown.

— Jestem na rozkazy pańskie, — rzekła, zwracając się do Duranda i udając, że ajenta nie widzi.

— A moja córka?

— Panna Laura przyjść nie może, bo jest chora.

— O, mój Boże, cóż takiego?

— O, nic, — odpowiedziała Nelly — cośkolwiek migreny, która zapewne do wieczora przeminie.

Mówiła to z niejakim zakłopotaniem, które nie uszło uwagi ajenta.

— A, jeżeli tak, to trzeba jej dać spokój, ale pani, panno Nelly, zechce udzielić temu panu wyjaśnień, w sprawie popełnionej u nas kradzieży.

— Jestem do dyspozycji.

Nelly była osobą wcale przystojną, ale niemiłą. Z jej twarzy bił wyraz jakiejś zaciętości, czy bodaj silnego uporu. Znać było, że wysiła się na to, aby wciąż nad sobą panować i okazywać się nie taką, jaką jest, ale jaką stosownie do okoliczności być pragnie. Agent rozmawiał z nią napozór o rzeczach błażych, jakby mu zależało na tem, aby rozmowę przeciągnąć. Wreszcie przerwał i podziękował za dane wyjaśnienia. Nelly odeszła, a również i agent skłonił się Durandowi z pożegnaniem.

— Przepraszam pana — rzekł Durand, — że się jeszcze o coś zapytam. Dlaczego pan tak dokładnie badał zamki i zasłony w oknach? Czy pan sądzi, że były naruszone?

— O, nie panie. Ani drzwiami, ani oknami złodziej z ulicy nie wdarł się do mieszkania pańskiego.

— Jakto pan rozumie? — rzekł zaniepokojony i zdumiony Durand.

— Tego w tej chwili powiedzieć panu nie mogę, ale ponownie zapewniam, że złodziej z ulicy nie przybył.

— Więc dlaczego pan tak dokładnie badał zamki.

— Ponieważ bywają złodzieje domowi, którzy dla odwrócenia od siebie podejrzeń, uszkadzają zamki i zasuwę. Tutaj tego nie uczyniono, a więc złodziej był bardzo pewnym siebie i ufał w to, że się przeciw niemu podejrzenie zwrócić nie może.

Durand niespokojnie zaczął się przechadzać po gabinecie, namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

— Właściwie powiedziawszy, nie rozumiem pańskiego postępowania. Zarówno służbie, jak i panie Brown zadawałeś pan nic nie znaczące pytania, z którychby właściwie niczego dociec nie można, a jednak mówisz mi pan rzeczy, które mnie niepokoją.

— Zdaje mi się, że nie dałem powodu do zaniepokojenia.

— Jakto nie, skoro pan tak wyraźnie wskazuje na jakiegoś domowego złodzieja.

— Niech pan wyraźnie posłucha.

Język potrafi ukryć tajemnicę, ale uszy ludzkie i twarz bywają otwartą księgą dla każdego, kto w nich czytać chce i umie. Jeden rzut oka, jedno drgnienie ust, jedno poruszenie głowy, powiedzą mi stokroć więcej, niż tysiące słów.

— I cóż pan wyczytał w twarzach mojej służby?

— Że pośród niej niema złodzieja.

— A mówiłeś pan o domowym złodzieju.

— Tak panie, jest domowy złodziej, ale nie pomiędzy służbą.

— A więc któż nim jest? — rzekł Durand, w wysokim stopniu rozdrażniony?

— O tem we właściwym czasie dowie się pan od pana Stuerta, ja już stanowczo nic więcej powiedzieć nie mogę.

Ajent pożegnał się i wyszedł, a Durand zamyślił się głęboko.

Ajent znalazłszy się na ulicy, miał już jakies swobodniejsze ruchy i szybko zdążył ku domowi, gdy spostrzegł przed sklepikiem jakiegoś człowieka, trzymającego ręce w kieszeni. Ubrany był niedbale, nawet po części obdarty, czapkę na oczy nasunął. Zaczzerwieniony nos, wskazywał, że to jakieś pijaczysko. Ajent zbliżył się do pijaka z uśmiechem na ustach i zapytał:

— Czy nie moglibyście mi pokazać, którą się idzie do hotelu Tremont?

— A czemu nie? może i pokażę, jeżeli znajdę adres w kieszeni; poszukam.

— Co ty tu robisz Bob — rzekł ajent do pijaka.

— A, ty Neil, skąd się tu wzięłeś?

— Jestem w robocie i tak mi wypadło, że muszę równocześnie zjawiać się jako Neil Stuart i jako inny ajent.

— Ale wiesz co, chłopcze, że ci się znakomicie udało. Byłbym cię nie poznał. Powiedzże mi, co tropisz?

— Córkę, która okradła swojego ojca. A ty co?

— Spotkałem tu znanego w Londynie szalera, łajdaka ostatniego rzędu. Skoro tu jest, to niezawodnie albo w Londynie coś zrobił i uciekł, albo też tutaj o czemś złem zamyśla. Nie spuszczę go z oka.

W tej chwili wysunął się z domu jakiś wysoki mężczyzna z kobietą okrytą welonem i podszedł z nią do czekającego powozu. Umieścił ją w powozie, poufale się pożegnał i nie ruszał się z miejsca, dopóki powóz się nie oddalił. Potem poszedł w przeciwnym kierunku i nie uważał, że jakiś pijaczyna bezustannie za nim postępował. Był to Jocelyn, który na widok wysokiego mężczyzny pożegnał się przedko ze Stuartem.

Neil spojrzął na zegarek, a przekonawszy się,

że ma jeszcze wiele czasu, puścił się bez planu po mieście.

Zamyśliwszy się nie spostrzegł, że się niespodzianie znalazł w jakimś nieznanym zaułku. Już chciał wsiąść do dorożki i pojechać do domu, gdy nagle usłyszał głos przerażonej kobiety:

— Ratujcie kto w Boga wierzy! Morderstwo! Pomocy!...

IV.

Zagadki.

Usłyszawszy wołanie o pomoc, Stuart pospieszył ku domowi, przed którego bramą zobaczył młodą, przerażoną dziewczynę.

— Co się stało? Gdzie jakie morderstwo? — zapytał dziewczyny.

— Na trzecim piętrze panie, zaraz pokażę.

To rzekłszy poprowadziła Stuerta po ciemnych, zniszczonych schodach, zapełnionych już zaniepokojonymi mieszkańcami domu. Rzecz to była niezwykła: napad morderczy w dzień biały.

Gdy Stuart zdążył pospiesznie, ciekawsi z mieszkańców poszli za nim i wyczekiwali pod drzwia-



— Co ty tu robisz Bob — rzekł ajent do pijaka.

mi, co z tego będzie. Stuart chciał wejść do wskazanego sobie mieszkania, ale drzwi były zamknięte. Przy pomocy kilku mieszkańców wyważył je przedko i gdy tylko próg przekroczył, spostrzegł wysokiego mężczyznę, który chciał umknąć.

Stuart zastąpił mu drogę, lecz w tej chwili ów mężczyzna dobył sztyletu.

Z niesłychaną zręcznością skreśliwszy mu nagle rękę, Stuart wyrwał sztylet i tak silnie uderzył pięścią mordercę że padł jakby omdlały.

— Zawołajcie policję i wezwijcie lekarza — rozkazał Stuart i wszedł do pokoju.

Tu zobaczył leżącą na podłodze, ciężko ranną kobietę, a obok niej portfel niewielki. Podjął go i schował. Ranną kobietę leżała bezprzytomna. Na szczęście wkrótce zjawił się lekarz i ranną opatrzył. Przybyła też i straż policyjna. Stuart oddał zbrodniarza w jej ręce, a potem zwrócił się do owej dziewczyny, która wzywała pomocy; była to córka właścicielki domu.

— Maszę z panią pomówić na osobności, więc proszę mi wskazać swoje mieszkanie. Jestem urzędnikiem policji i mam prawo i obowiązek żądać od pani wszelkich wyjaśnień.

Stanowczy ton mowy Stuerta wywarł wrażenie na wszystkich tak, że z widoczną ulgą i uspokojeniem rozchodząc się zaczęli. Znalazłszy się w mieszkaniu właścicielki domu, rozpoczął indagację.

— Czy pani zna zranioną osobę?

— Bardzo mało. Mieszka u nas dopiero od trzech dni, a przez ten czas prawie się nawet nie pokazywała.

— Jak się nazywa?

— Thomson.

— A ten mężczyzna? Czy go pani przedtem widziała?

— Jego zobaczyłam dziś po raz pierwszy. Przyszedł tu przed godziną i powiedział, że chce siostrę odwiedzić. Jakoś w kwadrans po tem, gdy przyszedł, przechodziłam koło drzwi mieszkania pani Thomson i usłyszałam bardzo głośną kłótnię. Zaciekawiona tem, wsunęłam się niepostrzeżenie do przedpokoju i przysłuchiwałam się wszystkiemu.

— O cóż się tak kłócili?

— Nie wiele mogłam zrozumieć. Ten pan, który się za brata przedstawił, domagał się od niej pieniędzy, które miała otrzymać od jakiegoś bogatego Anglika. Ona odpowiedziała mu, że nic nie ma, na co ów brat obrzucił ją obelgami i coś jej wydrzeć usiłował, bo słyszałam szamotanie i głos pani Thomson: „Nie oddam, choćbym umrzeć miała“. W chwilę potem usłyszałam jęk przeraźliwy i rozpaczliwy głos pani Thomson: „Zbójco, morderco!“ Wtedy zbiegłam co tchu na ulicę i zawołałam o pomoc.

Nie dowiedziawszy się niczego więcej, wrócił Stuart na miejsce zbrodni. Zraniona kobieta leżała już na łóżku, a lekarz starannie opatrywał ranę.

— Ciężko ranna?

— Rana wprawdzie śmiertelna, ale jest nadzieja ocalenia.

— Czy można ranną przewieźć do szpitala?

— Może jutro, jeżeli dożyje.

Była to kobieta niemłoda, o rysach twarzy miłych i szlachetnych. Stuart oddał ją pod opiekę właścicielki domu, a że już właściwie nie miał tu co robić, udał się do domu.

Rozebrawszy się z przebraniem, chciał zaraz przeglądać papiery w portfelu zawarte, ale przypomniał sobie, że już czas zbierać się na herbatę do Durandów.

Zaledwie się ubrał i do wyjścia sposobił, przyszedł po niego Arterveldt.

— Mamy jeszcze pół godziny czasu, więc możemy porozmawiać, jeżeli pan pozwoli.

— I owszem — rzekł Stuart — zwłaszcza, że niezawodnie będzie pan opowiadał o pięknych dziewczętach.

— Tym razem nie mów pan w liczbie mnogiej, bo od wczoraj już tylko o jednej rozmawiać mogę.

— Zapewne o tej pięknej przyjaciółce panny Kati Scaton? Jakże się nazywa ten nowy ideał pański?

— Panna Armin. Śmieję się pan

ze mnie, że mi się podoba, ale zapewnić muszę, że po raz pierwszy jestem naprawdę zakochany. To mię ogromnie gniewa że muszę z panem iść do Durandów, zamiast do Ruthvenów.

— Więc panna Durand straciła już wszelki powab dla pana? A jakż pan się dzisiaj z nią witał, przyszedłszy się usprawiedliwić z wczorajszej niebytności?

— Na szczęście nie widziałem jej wcale, bo mi jej towarzyszka oświadczyła, że jest chora.

— Może ma migrenę?

— Coś takiego.

— Te migreny bywają niekiedy w różnych wypadkach bardzo przydatne — rzekł Stuart od niechcenia. — Ale, ale... znasz pan dokładniej towarzyszkę panny Durand?

— Dostyc powabna dziewczyna.

— To za mało do charakterystyki.

— Cóż panu powiem? Chyba same przypuszczenia.

— Choćby i tyle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kółka rolnicze w powiecie lwowskim.

(Do ilustracji na str. 10).

Powiat lwowski należy w pożytecznej i tak sympatycznej instytucji Kółek rolniczych do naj-

Kółek na polu handlowem. We wszystkich sklepach Kółek obrót handlowy wynosił poważną kwotę 200.000 kor. Z działalności reprezentacyjnej na podniesienie zasługują odbyte w ciągu roku zjazdy okręgowe w 10 miejscowościach, trzy zgromadzenia, cztery kursy, oraz udział członków Kółek roln. w wystawie ogrodniczo-pszczelniczej we Lwowie.

Doroczne zgromadzenie przeprowadziło żywą dyskusję nad tem sprawozdaniem, której owocem był szereg rezolucyj. Obrady skończyły się dwoma pouczającymi wykładami.

Rycina nasza przedstawia grupę uczestników zgromadzenia Kółek rolniczych.

Nowe zamachy na policję warszawską.

(Do portretu na stronie 4.)

Po pewnej przerwie zamachy na przedstawicieli policji w Warszawie znów są na porządku dziennym. W ostatnich kilku dniach zabito żandarma na ul. Grzybowskiej, a raniono drugiego, następnie na Woli ciężko również poraniono strażnika ziemskiego. Wreszcie w sobotę kilkoma strzałami zabito na ul. Dobrej rewirowego policyjnego Jana Zbyszewskiego, którego podobiznę dziś zamieszczamy z tej okazji.

We wszystkich wypadkach powyższych, które zaczynają ponownie szerzyć popłoch w kołach policyjnych w Warszawie, zdołali wykonawcy zamachów umknąć przed nadejściem patroli.



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: St. Minkiewicz.

lepiej zorganizowanych. Wykazało to choćby ostatnie doroczne walne zgromadzenie delegatów Kółek roln. z powiatu lwowskiego, które się odbyło przed kilku dniami w sali ratuszowej we Lwowie. Na zgromadzeniu przedstawił zasłużony w pracy około rozwoju tej instytucji dr. Bronisław Duleba sprawozdanie z działalności zarządu w ubiegłym roku, z którego to sprawozdania powtórzyć warto kilka dat. Kółek w powiecie lwowskim jest 36 a obejmują one swą działalnością 72 gmin: członków liczą one łącznie 2100. We wszystkich Kółkach odbyło się w zakresie sprawozdawczym 1785 zebrań, co najlepiej świadczy o ich żywotności. W czytelnictwie Kółek jest 4177 dzieł i 115 czasopism. Bardzo żywą i bardzo wydatną była działalność Kółek w kierunku podniesienia rolnictwa i gospodarstwa włościańskiego. Sprowadzono nowe rodzaje nasion, sztuczne nawozy, rozmaite maszyny rolnicze, szlachetne rodzaje drzew owocowych. Nie gorzej przedstawia się działalność



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: Wacław Cuklerski.

Manifestanci z pl. Grzybowskiego przed sądem.

W ubiegłym tygodniu przed Izłą sądową w Warszawie stanęli główni uczestnicy i organizatorowie pamiętnej manifestacji na placu Grzybowskim w 1904 r., która była, jak wiadomo, pierwszym wogóle w ruchu rewolucyjnym lat ostatnich wystąpieniem zbrojnym na ulicach Warszawy i to już zakończonem ofiarami w ludziach.

Oto przebieg owych wypadków krwawych:

11 listopada 1904 roku „Warszawski Komitet Robotniczy Polskiej Partji Socjalistycznej“ wydał proklamacye w języku polskim i żydowskim, w których wzywał „wszystkich uświadomionych towarzyszy“, aby zebrał się w niedzielę 13 listopada o godzinie 11 na placu Grzybowskim w Warszawie i urządzili tam manifestacyę, w celu zaproteutowania przeciwko mobilizacji z powodu wojny rosyjsko-japońskiej.

Jednocześnie „warszawskie koło młodzieży“, odłam P. P. S., wydało odezwę do „warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej“ z propozycją wzięcia udziału w manifestacji, ponieważ „miejsce młodzieży rewolucyjnej znajduje się tuż obok proletaryatu socjalistycznego“.

Otrzymawszy wiadomości o zamierzonej manifestacji warszawski oberpolicmajster polecił ponaklejać na murach domów Warszawy obwieszczenia,

przypominające treść wydanego przez warszawskiego generała gubernatora postanowienia, obowiązującego w przedmiocie zakazu zgromadzeń i zebrań ulicznych.

W wyznaczonym na manifestacyę dniu, pomi-



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: Zygmunt Aleksa.

mo niedzieli, w kościele Wszystkich Świętych zebrało się mniej niż zwykle osób.

Wiele osób odchodziło już z przed kościoła, po przeczytaniu ponaklejanym gęsto obwieszczeń oberpolicmajstra.

Znajdujący się w kościele w przebraniu cywilnym policyjant Jakubiewicz uważał, że część publiczności grupowała się w różnych miejscach kościoła i rozmawiała szeptem.

Do południa na placu było najzupełniej spokojnie.

O godzinie 12 w południe, gdy po ukończeniu nabożeństwa ludzie poczęli wychodzić z kościoła na krużganek, nagle z prawej strony kościoła, obok domu Nr. 3 na placu Grzybowskim, utworzył się tłum, do którego poczęły przyłączać się osoby, wychodzące z kościoła. W ten sposób zgromadziło się kilkaset osób.

W tłumie tym zwracała na siebie uwagę grupa studentów, złożona z kilkudziesięciu osób.

Niebawem ktoś podniósł na drążku czerwony sztandar, tłum obnażył głowy i z pieśnią na ustach skierował się przez plac ku ulicy Bagno.



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: Witold Stomczyński.



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: Antoni Ekert.

Prawie jednocześnie poczęto strzelać do policyantów i żandarmów.

Ci ze swej strony odpowiadali wystrzałami. Tłum rozdzielił się: część powróciła do kościoła, część rzuciła się w kierunku Bagna.



Manifestanci z pl. Grzybowskiego w Warszawie przed sądem: Sz. Kwarto.

Podczas strzelaniny zabito stójkowego posterunkowego na rogu ulicy Bagno; zraniono rewirowych: Staniszewskiego i Szulakowskiego oraz stójkowych: Zarachowicza i Domaradzkiego; na ulicy Bagno, podczas ucieczki tłumem, zraniono rewirowego Kupego, nadto przestrzelono czapkę stróżowi Maliszewskiemu, który stał na posterunku.

Gdy tylko rezległy się wystrzały z pierwszego tłumu, który niósł sztandar i szedł w kierunku Bagna, publiczność wychodząca z kościoła, zatrzymała się na krążanku i poczęła wołać: „precz z moją zacyą! chodźcie tu pod Laojan!“.

Wśród tego tłumem byli wyłącznie prawie robotnicy i studenci.

Zobaczywszy policyę, manifestanci poczęli wy-

myślać jej, gdy zaś komisarz policyi podszedł do krążanka i zażądał, aby tłum rozszedł się, poczęto rzucać kamieniami, laskami, a nawet rozległo się kilka wystrzałów rewolwerowych.

W tym czasie kościół otoczyła policya i żandarmi, którzy obnażyli pałasze i wzięli w ręce rewolwery.

Pomimo to tłum manifestantów w dalszym ciągu rzucał kamienie i laski, wołając: „precz z mobilizacyą.“

Wtedy sprowadzono uprzednio wezwane oddziały wojsk konnych i pieszych na pomoc policyi.

I to nie poskutkowało, kamienie i klątwy sypały się w dalszym ciągu.

Wojsko natarło na tłum, który wobec tego szukał schronienia w kościele.

Część publiczności wypuszczono z kościoła, kilkaset osób aresztowano, jako podejrzane o udział czynny w manifestacyi.

Tymczasem z sąsiadujących z placem Grzybowskim ulic: Próżnej, Bagna, Wielkiej i Świętokrzyskiej, poczęły napływać tłumy, usiłując przedostać się na plac Grzybowski.

Tutaj policya i żandarmerya rozpędzając tłum, posiłkowała się bronią.

Manifestanci ze swej strony również strzelali do policyi i rzucali w nią kamieniami.

Najsilniejszy napływ tłumem był od ulicy Bagno i tutaj policya nie mogła powstrzymać manifestantów.

Wtedy na ulicę Bagno posłano oddział petersburskiego pułku piechoty w celu rozpędzenia tłumem.

Widząc nadciągające wojsko, tłum poczęł rzucać w nie kamieniami; rozległy się też strzały.

Na komendę oficera oddział wojska dał trzykrotną salwę w stronę tłumem, zebranego na ulicy Bagno.

Manifestanci ukryci w kościele pozostawali tam do godziny 9 wieczorem, oświadczając, że nie wyjdą, ponieważ obawiają się pobicia ze strony policyi.

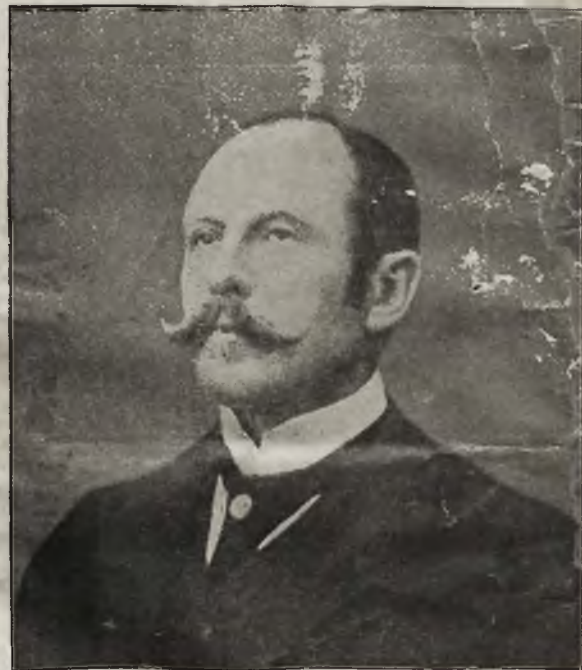
Wreszcie pod wpływem namawiań oberpolicmajstra i księdza Matyszewskiego, opuścili kościół, przyczem wszystkich zaprowadzono do Ratusza, gdzie aresztowano tych z pomiędzy nich, w których policyanci poznawali czynnych manifestantów.

W tejże samej chwili dokonano oględzin kościoła, w którym znaleziono: 1) strzępki porwanych proklamacyj, 2) toczony stalowy sztylet, 3) trzy nabite rewolwery; w jednym z nich brakowało jednego naboju, w dwóch zaś innych znajdowało się 4 i 5 naboju.

* * *

W ubiegłą sobotę po trzydniowych rozprawach zapadł wyrok warszawskiej Izby sądowej w sprawie 6 osób, pociągniętych do odpowiedzialności karnej za udział w powyższej manifestacyi.

Są to: Stanisław Miukiewicz, student uniwer-



Polak w służbie francuskiej: Śp. pułkownik Lubański.
(Do artykułu na stronie 10)

sytetu w Warszawie, skazany na 8 miesięcy domu poprawczego; Witold Słomczyński, student uniwersytetu w Petersburgu, skazany na rok domu poprawczego; Zygmunt Aleksa, student instytutu weterinaryjnego w Warszawie i Wacław Cnkierski, student, skazani na 9 miesięcy domu poprawczego; Szlama Kwarto, knpiec i Antoni Ekert, uniewinnieni.

Podobizny ich podajemy dzisiaj według zdjęć, wykonanych nmyślnie dla [redacted] przez warszawski zakład fotograficzny [redacted] Kaczyńskiego.

Pogrzebany żywcem.

Straszna katastrofa wydarzyła się we Lwowie, w piątek nbiegłego tygodnia. Oto znana tam, położona obok rogatki Zielonej góra piaskowa, usunęła się częściowo wskutek odwilży i piaskiem swym zasypała żywcem jednego z robotników, zajętych w tem miejscu dozywaniem piasku. Katastrofa nastąpiła tak nagle i zsyłała się od razu taka masa piasku, że nawet natychmiastowy ratunek, podjęty przez innych robotników, następnie przez straż pożarną i dwa oddziały wojska, nie mógł być skutecznym. Ponieważ zaś nadszedł tymczasem wieczór, a śmierć zasypanego robotnika, nazwiskiem Hryniaka, nie mogła ulegać wątpliwości, przeto dalszą akcyę celem wydobywania zwłok nieszczęśliwego, który został pod masą piasku zagrzebany wraz z wozem i parą koni, odłożono do następnego dnia.

Rozpoczęto ją istotnie w sobotę o wpół do 8 rano, pod kierunkiem jednego z inżynierów miejskich. A była to praca istic szczyfowa, której bezskuteczność powiększała prawdziwie magistrackie bezhołowie. Zamiast bowiem zaprzędz do roboty kilkadziesiąt ludzi i z wytkniętym z góry planem dążyć od razu do usunięcia większej przestrzeni nagromadzonego skutkiem katastrofy piasku, wzięto do tego kilkunastu robotników, których wysiłki szły na marne, zaledwie bowiem część piasku odkopano, na miejsce to zanęła się zaraz nowa masa ziemi i brył kamiennych. Kilka razy zdawało się już, że zwłoki będzie można dobyć odkopano bowiem część wozu, ukazała się też zamiała, zakrwawiona głowa ofiary katastrofy i część korpusu. Wnet jednek usuwający się bez przerwy piasek pokrywał wszystko znowu grubą warstwą. Godzina upływała za godziną, ludzie pracujący ukryci byli potem, a wynik ich usiłowań równał się ciągle zeru.

Tymczasem na miejscu wypadku gromadziły się coraz to większe zastępy publiczności i gawiedzi, przybyło kilku radnych, kilku lekarzy itd. Zebrani komentowali ka-



Fot. M. Münz.

Pogrzebany żywcem: Zwłoki zasypanego piaskiem na Zielonem we Lwowie robotnika Hryniaka po odkopaniu; obok wdowa (1).

tastrofę w sposób dla magistratu lwowskiego, w szczególności dla miejskiego urzędu budowniczego, najmniej pochlebny. Okazało się mianowicie, że góra ta od dawna groziła runięciem. Ze tedy niebezpieczeństwo dla robotników,



Najpopularniejszy arcyksiążę: Arcyksiążę Rainer.

u jej stóp pracujących, było widoczne. Kilkakrotnie też na skutek opinii inżynierów zabraniano prowadzenia tam jakichkolwiek robót. Na zakazy magistrackie jest jednak we Lwowie zawsze sposób, zawsze znajdzie się furtka, aby je ominąć. Tak było i w tym wypadku. Drogą protekcji, drogą ubocznych wpływów, uzyskał obecny przedsiębiorca i dzierżawca góry pozwolenie na dalsze kopanie piasku. I przyszło do katastrofy, która pochłonęła życie ludzkie, a wdowę po Hryniaku i pięcioro nieletnich dzieciaków oddała na pastwę nędzy i głodu.

Żal szczery i litość serdeczną musiały wzbudzić w każdym straszne jeji rozpacz owdowiałej kobiety, która wśród śniegu, na zimnie, o głodzie, wyczekiwała z drżeniem serca na wydobyć zwłok męża i żywiciela. Wydobyto je dopiero po 12 w południe, więc po przeszło czterogodzinnej pracy. Przedstawiły one sz Straszy, zgrozą przejmujący widok. Twarz nieszczęśliwego zsiniała, zakrwawiona, usta wykrzywione, korpus cały zgnieciony, a wszystko oblepione mokrym, żółtym piaskiem, zmieszonym z krwią. Leżały one tak długo na białym śniegu, jakby bolesny wyrzut, jakby niema, a przecież tak wymowna skarga na tych, co śmierci jego byli pośrednimi winowajcami. Aż po dwu godzinach, gdy komisja sądowo lekarska-zalatwiła formalności urzędowe, złożono zwłoki do białej, drewnianej trumny i odstawiono do kostnicy.

Rycina nasza przedstawia zwłoki śp. Hryniaka, ofiary katastrofy, złożone na śniegu, na chwilę przed przybyciem komisji. Obok trumny stoi rozpaczająca wdowa.

„Figliki” w Krakowie.

Od połowy grudnia posiada Kraków nowy teatr, a raczej ze względu na małą przestrzeń, jaką zajmuje i drobny rodzaj, jaki uprawia — nowy „teatrzyk”.

Nazwa „Figliki” nawiązuje aż do tradycji Reyowskiej, a patronat najstarszego humorysty polskiego „Marcholta grubego a sprośnego”, dość wyraźnie określa zamiary nowej scenki. Pierwsze przedstawienia przekonały też, że idzie tu o wprowadzenie czegoś pośredniego między coraz bardziej rozwielniającym się obecnie kabaretem, a teatrem „wolnym”, tj. tego rodzaju, jaki za przykładem Paryża z powodzeniem utrwała się w innych wielkich stolicach, a z przestoczeniem Krakowa w „wielki” Kraków musiał też i do nas spłynąć. W rodzaju tym t. zw. *Spectacle coupé*, jednoaktówka, ten kopcuszek wielkich teatrów, przychodzi do praw wyjątkowych, stanowiąc główną część programu, w którym schodzi się z wesołym kupletem, z piosnką sentymentalną, satyrą, parodią, nareszcie pantomimą.

Pierwsze przedstawienia okazały, że mierzono trochę siły na zamiary. Nadspodziewanie dobrze przedstawiał się odrazu materiał literacki. Jadowita muza Nowaczyńskiego używała pełnej swobody wypowiedzenia się w szeregu pieśni i monologów, wyłonił się interesujący talent p. Schillera, który uprawia rodzaj „chanson triste”, przekłady z Courteline’a i Wedekinda wprowadzały pożądany element doskonałości w kierunku programu teatru. Gorzej było z siłami wykonawczymi. Udział p. Przybyłko Potockiej, dawnej ulubienicy Krakowa, zapewnił wprawdzie jednoaktówkom atrakcję pierwszorzędną, jednakże inne siły, a zwłaszcza powołane do odtwarzania repertuaru kabaretowego, nie odrazu oswoiły się z nowym dla siebie zadaniem. W tym kierunku wysokie wymagania mogły zaspokoić występy p. Zimajer-Rapackiej, która po matce odziedziczyła dar podbijania publiczności, jakkolwiek uprawia rodzaj trochę odmienny. Cechuje ją elegancja i dyskretna finezya niezawodząca również w występach komediowych. Po cząwszy od przedstawień świątecznych, wzmocniono personal i odtąd poziom wykonania podniósł się znacznie. Przybył p. Zejdowski, wytrawny komik, odznaczyli się p. Wierzejska, pp. Kamiński i Zalewski. Zwłaszcza przedstawienie „Oświadczyń” Czechowa przynosiło zaszczyt usiłowaniom kierownika, którym jest młody literat, dr. Schifman.

„Figliki” mieszczą się w sali Saskiej. Problem urządzenia sceny na niewielkiej przestrzeni, będącej do rozporządzenia, rozwiązał nader szczęśliwie artysta malarz, p. Frycz. Projektowane przez niego obramienie sceny z kurtyną i emblematem Mar-



Filar polskiej Sztuki: Sp. Jan Stanisławski, najznakomitszy pejzazysta polski i profesor krakowskiej Akademii. (Do artykułu na stronie 3).

chołta według starego drzeworytu, przedstawia się jako istne cacko, pełne poczucia kolorystycznego i wykwintnego smaku. Również urządzenia sceny według wskazówek tego samego artysty wywołują zawsze zasłużony podziw.



„Figliki” w Krakowie: Słowizdrzał i Marchott, dwie state figury w „Figlikach”.



„Figliki” w Krakowie: Helena Zimajer-Rapacka, występująca gościnnie w „Figlikach”.

Bohaterka głośnego romansu.

Tyle wrzawy w świecie sprawiła swego czasu sprawa małżeństwa arcyksięcia austriackiego Leopolda, syna wielkiego księcia Toskany (a brata słynnej księżnej Ludwiki saskiej, obecnej hrabiny Montignoso) z aktoreczką teatrzyków rozmaitości, Wilhelminą Adamowiczówną, a zaledwie cztery lata upłynęły, gdy znowu publiczność zajmuje się tą sprawą z powodu rozwodu małżeńskiego. Dla niej przecież arcyksiążę zrzekł się wszelkich praw księcia krwi i stał się zwykłym obywatelem szwajcarskim, jako Leopold Wölfling. A dziś „dobre” małżeństwo, jak o nich zapewniano, rozeszło się i prowadzi proces rozwodowy. O przyczynach sensacyjnego rozejścia się pisaliśmy już przed tygodniem, zamieszczając portret byłego arcyksięcia. Dziś podajemy fotografię bohaterki głośnego romansu, rozwodzącej się z Wölflingiem, pani Wilhelminy Adamowicz.

Najpopularniejszy arcyksiążę.

Wśród rodzin panujących rzadko zdarzają się osobistości, które umiałyby i chciały poza formami życia dworskiego i szablonu wielkoświatowego część swej inteligencji, dobrej woli i majątku obracać na cele nie mające nic wspólnego, ani z wojskiem, ani z polowaniem, ani ze sportem. Ponieważ jednak wyjątki zdarzają się wszędzie, więc i wśród rodziny panującej w monarchii Austro-Węgierskiej z całym uznaniem podnieść należy osobistość arcyksięcia Rainera, który w dniu 11 b. m. obchodzi 80-tą rocznicę urodzin w całej pełni sił fizycznych i duchowych.

Arcyksiążę Rainer, który do przeszłego roku był naczelnym wodzem austriackiej obrony krajowej, jest członkiem honorowym i kuratorem wiedeńskiej Akademii Umiejętności, doktorem filozofii i nauk technicznych *honoris causa*, a przytem znakomitym egiptologiem i właścicielem słynnego papyrusu z Fajum.

W r. 1857 mianował go cesarz prezydentem stałej Rady państwa, a następnie prezydentem pierwszego liberalnego gabinetu (Schmerlinga), na którego czele pozostał do lipca 1865 r.

Wycofawszy się z życia politycznego, poświęcił się przeważnie organizacji obrony krajowej, która straciła w nim bardzo tegiego a przytem pełnego wyrozumienia i postępowych zapatrywań dowódcę

Arcyksiążę jest naszym ścisłym współobywatelem, gdyż posiada pod Krakowem dobra Izdebnik, które darowała mu znana z dziwactw księżna Montléart.

* * *



Jeszcze księżna Luiza: Eks-małżonka ks. Filipa Koburskiego, ks. Luiza.



Fot. J. Haupt, Iglawa.

Bohaterka głośnego romansu: Wilhelmina Adamowicz-Wölflingowa, z którą rozwiódł się były arcyksiążę Leopold.

Popularność sędziwego arcyksięcia najlepiej charakteryzuje fakt, że w dniu swych urodzin pozwoił na przybycie deputacyi przekupek z „Naschmarkt” jak (krakowski plac Szczepański), którego często przechodził ze swego pałacu do komendy obrony krajowej, a gdzie go witano jak najlepszego znajomego z prawdziwie wiedeńską *Gemüthlichkeit*.

Jeszcze księżna Luiza.

Jak prawdziwy „wąż morski” pokutują po dziennikach europejskich ciągle awantury i skandale, gromadzące się około osoby księżnej Luizy, byłej małżonki księcia Filipa Koburskiego, a córki operetkowego króla Belgii, Leopolda, po którym wiodocznie odziedziczyła skłonność do rozmaitych, nie bardzo z jej stanowiskiem i wiekiem liczących miłostek.

Zaledwie ucichło o głośnym jej stosunku do eks poręcznika Matasica, który względy księżnej odpokutował więzieniem, a następnie wykradł ją z sanatorium dla umysłowo chorych — teraz znów wypłynął nowy skandal na powierzchnię *high-life* u, do którego, bądź jak bądź, zalicza się romantyczna księżna.

Oto świeżo sądy wiedeńskie przyznały hr. Festeticsowi częściową pretensję do księżnej w wysokości 35 000 k. Pretensya ta powstała stąd, że hrabia miał pożyczyć ks. Luizie w roku ubiegłym kwotę 100 000 franków, o której zwrot daremnie się upominał.

Zastępca księżnej zarzucił przy rozprawie hrabiemu, że dopuścił się względem jego klientki lichwy, bo wręczył jej tylko 55 000, a kazał sobie wystawić rewers na 100 000 franków.

Pokazuje się stąd, że i w najwyższych sferach dzieje się to samo, co i w najniższych: ludzie lekomyślni pożyczają na prawo i lewo, a sprytni lichwiarze korzystają bez sumienia z ich lekomyślności.

Obok podajemy podobizny księżnej Luizy, już niemłodej wcale, gdyż liczy lat 49 i hrabiego-lichwiarza.

Zapasy atletów w Wiedniu.

To wielkie zainteresowanie się, jakie okazują zapasom atletycznym jak najszerze koła naszych Czytelników, skłania nas do podawania im aktualnych sprawozdań, ilustrowanych odpowiednio, z dziedziny tego szlachetnego, prawdziwie męskiego sportu.

Pierwsza z podobizn przedstawia Turka Madraly'ego, który przez walkę ze słynnym Hackenschmiedem w Londynie zdobył sobie zasłużone miejsce w przednim szeregu średniej klasy zapasników.

Charakterystycznymi są: jego wschodni bogaty ubiór, sposób, w jaki siedzi, wierny swym tradycjom narodowym, a pozatem wyraz pewnej *bonhomie*, przebijający z jego twarzy, tak mało przypominającej przeciętną twarz przeciętnego, zawodowego atlety. W Wiedniu zdobył on sobie pewną popularność u publiczności przez swoje oryginalne okrzyki: „Ouh!”, jakie wydawał podczas walki.

Druga ilustracya przedstawia podobiznę Fryszteńskiego, najlepszego z zapasników czeskich. I rzeczywiście, patrząc na te jego plecy, na te potężne ramiona, gdzie pod delikatną skórą gra mięśni nwydatnia się wspaniale, mimowolnie przychodzi na myśl, że owi słynni atleci, którzy zdobywali na Olimpijskich igrzyskach pierwsze nagrody, a których podobizny przechowała nam rzeźba grecka, musieli tak, jak Fryszteński, wyglądać.

Trzecia wreszcie fotografia przedstawia chwilę, gdy tenże Fryszteński zamierza w czasie zapasów położyć Madraly'ego za pomocą chwytu, zwanego „*remussement de bras*”. Czeski zapasnik uległ wprawdzie w końcu przewadze siły przeciwnika — pomimo tego jednak podziwiano ogólnie jego sprawność w walce z takim silaczem, jak Turek Madraly.

* * *

Dzielimy się wreszcie z Czytelnikami, tak żywo zajmującymi się sprawami sportu zapasniczego wiadomością, że Zbyszko Cyganiewicz wyjechał do stolicy Norwegii, Chrystyanii, gdzie najniezawodniej będzie zbierał nowe laury. Zresztą będzie to zupełnie naturalnem, gdyż jest „światowym *championem*” — najsilniejszym, niepokonanym z żyjących atletów.

Ostatniem jego zwycięstwem, świetnem, jak wszystkie inne, jest pokonanie licznych przeciwników przy zapasach w cyrku Beketowa w Wiedniu, za co otrzymał pierwszą nagrodę. Druga nagroda przypada Pytlasińskiemu.

* * *

Załączamy tu wreszcie dobrą podobiznę Krakowianina Wacława Rogalskiego, który brał również udział w zapasach atletów w Wiedniu, o czem wspomnieliśmy już w poprzednim numerze.



Jeszcze ks. Luiza: Hr. Festetics, pożyczający na lichwę księżnej Luizie.

Warszawianie będą mieli okazją uczestniczyć teraz często w popisach siłackich tego atlety krakowskiego, Rogalski bowiem będzie występował w cyrku tamtejszym u Cinisellego. Udział jego w poprzednim konkursie siłaczy w warszawskim „pałacu Kryształowym“ był dla Rogalskiego bardzo zaszczytny.



Bohaterka głośnego romansu: Dr. Emil Frischauer, adwokat zastępujący Adamowiczównę w procesie rozwodowym.

Strejk robotników portowych we Włoszech.

Ruch strejkowy w całym świecie stał się niejako chorobą epidemiczną.

Jednocześnie z wielkimi strejkami na przestrzeniach państwa rosyjskiego, pojawiają się co chwila wiadomości o wybuchu bezrobocia, co trochę w innym kraju.

Potężny środek w walce socjalnej, jakim jest bezrobocie, nieraz daje się potężnie odczuwać tym, co nic wspólnego ani z pracodawcami, ani z robotnikami nie mają. Szczególniej dotyczą szeroki ogół bezrobocia w przedsiębiorstwach przewo-

wych, jak na kolejach lub w żegludze, gdyż wtedy setki tysięcy osób i setki tysięcy ton towarów nie mogą na czas dostać się tam, dokąd dążą lub dokąd są przeznaczone.

* * *

Ostatni strejk robotników portowych we Włoszech, który rozpoczął się w Genui a następnie rozszerzył na inne porty półwyspu Apenińskiego, sprawił olbrzymie szkody handlowi tak włoskiemu, jak i międzynarodowemu, oraz był przyczyną groźnych rozruchów.

Władze, celem utrzymania porządku, zmuszone były wezwać wojsko, a podane w dzisiejszym numerze naszego pisma zdjęcie fotograficzne przedstawia właśnie chwilę, gdy wezwana siła zbrojna wysiada na ląd w porcie Brindisi, który jest jednym z najważniejszych punktów na wschodnim wybrzeżu Włoch, pod względem handlu i ruchu pasażerskiego.

Naszyjnik miss Ady.

NOVELKA.

Groźnie i wspaniale wznosiły stare kasztany swe konary podczas ponurej nocy. Ciężkie chmury zakrywały horyzont, wisząc ponad szczytami gór i zamykając hermetycznie dolinę, wśród nich położoną. Wzdłuż długiego frontu olbrzymich pałaców hotelowych, których sylwety przecięte były tysiącami jaskrawo oświetlonych okien, ciągnęły się rzędy palm majestatycznych, oraz innych roślin południowych, sadzonych przy egzotycznych kwietnikach.. był to czarodziejski ogród na Riwierze!

A przecież ponadto, prawie podzwrotnikowym ogrodem, przeciągał od czasu do czasu mroźny wichur. Coś w powietrzu wisiało, jakby katastrofa, która musiała nastąpić, aby sprowadzić porozumienie między naprzężonymi i ze sobą w walce zaciętej zostającymi żywiołami...



Zapasy atletów w Wiedniu: Atleta Madrały, Turek.



Zapasy atletów w Wiedniu: Fryszteński w walce z Madrały'm



Zapasy atletów w Wiedniu: Krakowianin Wacław Rogalski, który brał udział w zapasach wiedeńskich.

Przez wysokie drzwi werandy jednego z najbogatszych hoteli przekradały się razem z błyskami światła niewyraźne dźwięki muzyki. Tam, w tym hotelu nie miano pojęcia o zaburzeniu w przyrodzie. A gdyby ktoś mógł zajrzeć przez wielkie szyby wejścia paradnego tego hotelu do jego ogromnych sal zatopionych w świetle elektrycznym, to njrzałby niezawodnie nadzwyczajny kontrast między niepokojącym nastrojem przyrody a tym, wesołym nieobarczonym jakąkolwiek troską nastrojem, który wewnątrz „Palastu hotelu“ panował.

Tam pod błyszczącym świecznikiem w głębi gajki, złożonego z kwitnących krzewów lanrowych i rozkosznych palm, nsadził się kwartet z wybranych artystów. Przy fortepianie siedziała w białej sukni rozmarzona i oparta w głąb fotelu smukła kobieta o bladej twarzy, okolonej bujnym kręczym włosom, ze wzrokiem skierowanym w pustą przestrzeń. Jej długie cienkie ręce zaledwie ślizgały się po klawiszach bezwiednie. Dwoje skrzypiec i wiolonczella towarzyszyły dyskretnie *con sordini* fortepianowi.

W dużym półkolu spoczywało opodal wygodnie na fotelach, pluszem obitych, przygodnie zebrane towarzystwo: panie w toaletach balowych, panowie we frakach, wypoczywając po trudach spożycia wielce wytwornego, lecz mocno skomplikowanego obiadu... Kilku małych mnrzynów, ubranych w czerwone kurtki i białe spodnie, podawało na srebrnych tacach a w przepysznych filiżaneczkach aromatyczną *mokkę*. Grupa młodych ludzi cisnęła się na progu pokoju do palenia, obojętnie patrząc na kółka dymu, pochodzące z ich wonnych egipskich papierosów... Jednym słowem panował tam miły, poobiedni nastrój.

Gdy już przebrzmiały ostatnie dźwięki melancholijnego, namiętego walca szopenowskiego, pojedyncze grupy owego towarzystwa podjęły znowu interesującą dla nich konwersację. Wysokie, jak trzciny, szczupłe, jasno-blond *misses* angielskie zabawiały się dyskusją ze swymi sztywnymi towarzyszami o pierwszorzędnej wagi kwestjach *lawn-tennisu*; gdzieindziej kilku Szwedów i Duńczyków omawiało ostatnie wypadki turystyczne w Alpach, a jeszcze dalej dwóch wielkich przemysłowców niemieckich, cofnąwszy się w zagłębienie, w nyszę okienną, udzielało sobie nawzajem spostrzeżeń co do prawdopodobnego rozwoju przemysłu chemicznego. Podczas tego — żony rozprawiwały najspo-

kojniej o widokach małżeństw, które tej zimy miały przyjść do skutku w ich rodzinach.

Najżywiej jednak bawiono się w tym kąci, gdzie francuska i rosyjska kolonia utwierdzały swą przyjaźń i gdzie kursowały najświeższe dow-



Zapasy atletów w Wiedniu: Atleta czeski Fryszteński.

cipy salonów paryskich. Było tam dwóch milionerów z Moskwy i pewien książę z rodziny Barbonów Łowiła ich w swe sieci za pomocą czarodziejskich uśmiechów jedną z artystek któregoś z bulwarowych teatrów, mocno wypudrowana i wyperfumowana.

Naraz zagasty fajerwerki głośnych dowcipów, a wszystkie lornetki zostały skierowane, jak na komendę, ku drzwiom, które otworzył portyer w suto galonowanej liberyi przed parą wchodzących nowych gości.

Młoda, słusznego wzrostu dama, o wspaniałym bińście nbrana w kosztowną suknię balową, z głową, która miała ostro zarysowany profil a podniesiona była dumnie do góry, zjawiała się oparta na ramieniu niedużego, dość otyłego starszego mężczyzny. Zimnym, przenikającym wzrokiem przypatrywał się on sali, napętnionej ciekawym tłumem roślinom ją zdobiącym i błyszczącym od światła zwierciadłom. Nie zdradzając najmniejszego wahania, poszli oni prościuteńko ku dwóm niezajętym krzesłom w pobliżu orkiestry i zasiedli na nich, patrząc tak spokojnie przed siebie, jak gdyby nie czuli, że są przedmiotem ciekawej obserwacji ze strony wszystkich zgromadzonych.

Po sali biegło z ust do ust słowo: „Amerykanka!“

Już przy tabldocie była ta para prawie jedynym przedmiotem rozmów.. Teraz także odłożono na bok lawn tennis, nieszczęśliwe wypadki, przemysł chemiczny itp. sprawy ze względu na majestat amerykańskich miliardów. Owym bowiem niewielkim, otyłym starszkiem był nie kto inny, jak Screw, Rafael Screw, bajecznie bogaty król kopalniany ze Stanów Zjednoczonych, wysoka zaś blondyna była miss Ada, jego jedyną córką i spadkobierczynią

— Okrągłe trzysta milionów dolarów — szepnął książę do zgrabnego naszka „gwiazdy“ bulwarowych teatrów.

— Wielka partya! — wdychali gentlemen, podpierając o drzwi pokoju do palenia.

— Ma na sobie naszyjnik! — z zachwytem mówiła jedna z innych Angielek.

— Naszyjnik! — powtarzali inni obecni, jak echo — naszyjnik!

— Naszyjnik, o którym co roku piszą dzienniki, jak o wielkim wężu morskim — wspomniała żona jednego z wielkich przemysłowców niemieckich — naszyjnik, mający kosztować milion dolarów.

— Przeszło cztery miliony marek biadała jej towarzyszka — ależ to cały nasz majątek!

Pewien jegomość, należący do arystokracji belgijskiej, jedyny dotąd z gości hotelowych, któremu udało się zawrzeć znajomość z niedostępnymi Amerykanami, a który ze względu na swoją wielką siwą brodę nie mógł być podejrzywanym o zamiar ubiegania się o rękę miss Ady, przyłączył się do towarzystwa pana Screw i jego córki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Strejk robotników portowych we Włoszech: Wojsko wysiada na ląd w porcie Brindisi.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

4. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— A jednak musimy wpaść na trop, musimy dociec wszystkiego. Byłoby to dla Genni straszną klęską. Tysiące endoziołców, z których miasto żyje — doznałoby niepokojów, gdyby takie zbrodnie bezkarnie tu nchodziły. Niech pan nie szczędzi kosztów z kasy rządowej i energicznych zabiegów.

— Zmobilizowałem też wszystkich agentów; czynią się poszukiwania w całym mieście, szczególnie po domach noclegowych, po zajazdach i hotelach.

— Sądzę że zbrodniarze tej kategorii nie ukrywają się w takich nędznych lokalach.

Zapewne. Jednak często tak bywa, że dla zatarcia śladów, zbrodniarz przesuwa się, że tak powiem w inną sferę towarzyską i właśnie tacy inteligentni, wyrafinowani złoczyńcy okrywają się bluzą robotniczą, albo i łachmanami.

— Pozostawiam panu zupełną swobodę działania, jednak sądzą, że byłoby może najlepiej, oddać całą sprawę w jedne ręce. Niech pan wybierze najzdolniejszego z agentów i jego do śledzenia przeznaczy. Oczywiście do tak trudnej sprawy należy wybrać najzdolniejszego. Czy jest taki któremu by pan mógł tę zawiłą sprawę powierzyć?

— Sądzę, że tylko Iwan Aleksandrowicz nadaje się do tego. Przynajmniej dotychczas udawały mu się najtrudniejsze rzeczy.

— Zgadzą się z panem zupełnie i dlatego chciałbym go widzieć.

Prefekt zadzwonił i polecił woźnemu wezwać Iwana Aleksandrowicza.

Iwan Aleksandrowicz był postacią bardzo interesującą. Dłgie lata tułał się gdzieś po świecie, aż wreszcie po rozlicznych przygodach życia wstąpił do policji włoskiej, gdzie został jednym z najrzęczniejszych agentów. Rodowity Rosyanin, tak się w krótkim czasie oswoił ze stosunkami we Włoszech, że niczem od Włocha się nie różnił. Władzał doskonale kilkoma językami, posiadał niepospolitą bystrość nmysłu i nadzwyczajną przebiegłość. Z każdej sprawy powierzanej sobie, wywiązywał się znakomicie, a nawet nie było dotychczas wypadku, ażeby mu się cokolwiek nie udało. Wziętość jego wzmagała się szybko i wkrótce nie tylko u przełożonej władzy zyskał sobie najchlebniejsze nznania, ale też i w Genui, a nawet i daleko po za nią, miał zasłużony rozgłos. Skoro teraz na wezwanie przybył do prefekta, widać było, że doznaje u władzy należytych względów, bo prefekt z wielką nprzejmością go przyjął.

— Proszę siadać panie Aleksandrowicz. Chciałbym pann powierzyć wyśledzenie sprawców zbrodni na Salita Santa Nicola. Zapewne pan już dowiedział się o wszystkim?

— Byłem panie prefekcie na miejscu zbrodni z panem komisarzem Dinegro.

— Jakież pann nasuwają się myśli? Czy pan wysnuł już jakieś wnioski?

— Otwarcie powiem panie prefekcie, że do tej chwili nie zdołałem sobie jeszcze wyrobić należytego wyobrażenia o rzeczy, jakkolwiek zajmuje mię ona bardzo i wciąż o niej myślę. Układam różne kombinacje, ale są one niczem innym na razie, jak tylko właśnie kombinacjami. Myśl moja zwraca się szczególnie ku owej spince złamanej. Czy pozwoli pan prefekt, ażeby mi się jej raz jeszcze przypatrzył.

— I owszem kochany panie Aleksandrowicz, oto jest.

Iwan Aleksandrowicz przypatrywał się spince z wielką n wagą, a szczególnie miniaturze, przedstawiającej główkę dziewczynki, poczem trzymając ją jeszcze w ręce rzekł do prefekta:

— Zdaje mi się panie prefekcie, żeśmy do tej chwili zamało przykładali wagi do tego przedmiotu. Mniemaliśmy, że to taka zwykła acz kosztowna spinka, jaką każdy człowiek gdziekolwiek u jubilera nabyć może. Obstać przy tem, że ta miniatura nie jest zwykłą, szablonową robotą fabryczną, ale dziełem artysty i że główka dziewczynki na tej emalii pozostaje w ścisłym związku z osobą mordercy, lub jego ofiary. Nie jest to zwykłe corpus delicti; ta miniatura jest ważnym momentem w życiu jednego albo drugiego. Podobne emalie są dość rozpowszechnione, wyrabiają je bowiem całemi setkami we Włoszech, ale mają one wyraźne piętno szablonu przemysłowego. Ta miniatura atoli jest wcale inna. Na pierwszy rzut oka nie dostrzega się tej różnicy, a gdy się jej dłużej i

dokładniej przypatrzemy, dostrzeżemy tu wiele wdzięku artystycznego i niezwyklej staranności w wykonaniu szczegółów. Proszę tylko przypatrzeć się oprawie miniatury, jaka to robota staranna — nawet wykwiłtna. Ta spinka nie jest wyrobem fabrycznym, ona była specjalnie u znakomitego jubilera zamówiona, co wątpliwości nie nlega. A jeżeli ktoś zamawia u jubilera taką robotę nmyslnie, toć przecież nie daje oprawiać jakiejś banalnej miniatury, jakiejś obojętnej kopii z obrazu, wogóle nie daje przecież oprawiać nic takiego — coby było dla każdego przystępne, i coby taniej w handlu nabyć można. Kto tę spinkę zamawiał u jubilera i w niej ową miniaturę umieścić pragnął — dla tego ta miniatura musiała być drogą pamiątką, wspomnieniem jakiejś najdroższej sercu osoby. Może to portret dziecka, może wnuczki. Należy przecież zwrócić uwagę i na miniaturę samą, która jest malowidłem, wykonaniem przez znakomitego artystę.

— Pomysł pański rzeczywiście godzien uznania — rzekł prefekt — i zaczął się miniaturze przypatrywać.

— Tak, istotnie — mówił prefekt — przy dokładniejszym badaniu widzi się tu rękę prawdziwie artystyczną. Rzeczywiście, że takie dzieło wykonaniem zostało, jedynie na specjalne zamówienie. Pańskie n wagi przeznaczą tej spince bardzo ważne znaczenie w toku całej sprawy. Z całym zaufaniem powierzam pann śledzenie sprawców i upoważniam pana do czynienia wszelkich potrzebnych na to wydatków.

W tej chwili wszedł wczuy z doniesieniem, że jeden z agentów przybywa z raportem.

— Niech wejdzie — rzekł prefekt.

Agent zdał raport z poszukiwań, podjętych w całym mieście. Uwięziono kilka osób podejrzanych, wzięto pod nadzór wszystkie lokale, w których majtkowie zgromadzać się zwykli, dokonano też rewizji na wszystkich statkach, które odpływać mają i nwięziono każdego — kto się należycie nie wylegitymował. Raport się skończył, agent wyszedł, a Iwan Aleksandrowicz odezwał się w te słowa:

— Widzę z tego raportu, że szukamy pospolitych rabusiów, opryszków z zawodu, a to zupełnie błędnie. Że to nie byli zwykli rabusie, najlepiej o tem świadczyło, że wszystko ze sobą zabrali. Zwykły rabuś dopuszcza się morderstwa i rabunku tylko w takim razie, jeżeli z góry jest przekonany, że mu się to opłaci. Rzbija sklepy jubilerów, żeby zrabować kosztowności, u knpców i bankierów świdruje kasy, aby zabrać pieniądze. Rzeczy drobne, bez większej wartości, zwykle pozostawia na miejscu, skoro tylko cel napadu osiągnie. Mordercy w Salita Santa Nicola mieli inne pobudki do zbrodni. Czy można przypuszczać, aby dla zabrania kilku, czy kilkunastu sztuk bielizny i cokolwiek garderoby, ryzykowali zbrodniarze swoje życie? Gdyby zaś dopuścili się mordu dla zrabowania pieniędzy i kosztowności, które u zamordowanego być mogły, to poprzestawszy na zdobyciu łupu — oddaliliby się zempredziej i nie zacierali z taką starannością wszelkich śladów, któreby świadczyć mogły, kim właściwie był zamordowany. Widocznie zależało im na tem, ażeby nikt się dowiedzieć nie mógł o osobie zamordowanego. Tego pospolity zbrodniarz nie czyni, bo czynić nie potrzebuje. Mordercy w Salita Santa Nicola zabili swoją ofiarę nie dla rabunku, nie dla łupu pieniędzy, ale z innych motywów, których oczywiście w tej chwili zbadać jeszcze nie możemy. Na każdy sposób twierdzić można stanowczo, że zbrodniarze należą do inteligentnych, do wyższych sfer społeczeństwa.

Zwykli rabusie postępują zupełnie inaczej. Tacy wdarliby się przez strych albo przez okno do mieszkania, zapomocą drabiny, albo dostaliby się zapomocą wytrycha, lub włamania do domu. Rabusie pospolici nie zadaliby sobie trudu zaścielać łóżka, nie wychodziliby tak spokojnie przez bramę. Mimo tego atoli należy uwagę zwrócić na wszystkie strony, co też uczynić nie omieszkam.

Prefekt pożegnał agenta, zapewniając go raz jeszcze o swoim zaufaniu.

* * *

Mieszkańcy Genui czytali w dziennikach obszernie opisy wypadku tej nocy. Morderstwo w Salita Santa Nicola było przedmiotem rozmów w salonach i knajpach, wśród licznych endoziołców i Genujczyków, a wiadomość o miniaturze, przedstawiającej główkę dziewczynki, nrosła w rodzaj legendy i budziła najrozmaitsze refleksje. Główka niewinnego dziecka na miejscu tak strasznej zbrodni, malowana główka, jedyny świadek tego co się stało.

Czy ona powoła zbrodniarzy przed sąd, dla wymierzenia sprawiedliwości?

IV.

Elenor Luigarda.

Piazza Fontana ma wygląd prawdziwie wielkomijski wraz ze sławną Via Garibaldi. Tu wznoszą się wspaniałe, starożytne pałace, przypominające nader świetną przeszłość potężnej Rzeczypospolitej Genujskiej. Rodziny patrycyuszów posiadały przed wiekami nie tylko ogromne bogactwa, ale i wysoką kulturę zamitowania piękna i sztuki. One to budowały w tej części miasta te architektoniczne pomniki świetnej przeszłości Genui. Wszędzie tu znać geniusz artystyczny, wszędzie zamiona największego rozkwitu sztuki. Ołbrzymie dochody z rozgałęzionego handlu, obracało knpiectwo genueńskie i stara szlachta na te budowle, z których każda jest arcydziełem sztuki.

Dziś już niejedno się zmieniło. Na domach zatarły wieki ślady dawnej wspaniałości, zastąpione dziś przemysłowym szablonem. I rody dawnych patrycyuszów prawie zupełnie wymarły; ich nazwiska należą już do historii. Teraz rozsiadła się tu nowoczesna szlachta włoska i młoda plutokracja. To i owo starano się zatrzymać z przeszłości, ale przeważnie modernizuje się stare budowle, lub przekształca je zupełnie. Mimo tego znać tu jeszcze dostatek i ulica zachowała wygląd wcale interesujący.

W jednym z najpiękniejszych pałaców tej ulicy, zajmowała całe obszerne pierwsze piętro Elenor Luigarda. Żyła zupełnie na uboczu, nie związując z nikim stosunków towarzyskich. O nią także się nie wiele troszczono, bo Genna tak przywykła do endoziołców, tylu ich corocznie przyjeżdża i wyjeżdża, że się już przestało nawet zwracać na nich n wagę. Wiedzano tylko, że tu przybyła przed rokiem, że całe mieszkanie przekształciła i na nowo nmeblowała i że jest bardzo bogata. W eleganckim wspaniałym buduarze, siedziała Elenor około południa jeszcze w negliżu. Ktoby ją teraz zobaczył, mógłby wyczytać z jej twarzy, że ten przepych i dostatek nie zapewniają jej szczęścia. Zękanie, niepokój i jakieś spazmatyczne nerwowe ruchy dowodziły wyraźnie, że burza wewnętrzna szumi w jej duszy, że jest w rozterce czy z losem czy z sobą samą. Może to wspomnienia minionych lat, może obawa przyszłości, może jedno i drugie. Zapewne snują jej się teraz przed oczyma obrazy przeszłości.

W tej samej Genui, w której teraz zajmnie pałacowe mieszkanie, mieszkała przed laty uboga wdowa z dwójgiem dzieci, na nędznym poddaszu. Matka zajmowała się praniem bielizny, przyjmowała najcięzsze posługi, byle tylko wyżywić dzieci. Gdy dziewczynka podrosła, biegła po nlicach Genui i sprzedawała wyrobnikom „Frutti di mare“, które starszy jej brat z morza wyławiał. Ile to nieraz trzeba było doznać i nmczenia i głodu, zanim się kilkanaście centimów ze sprzedaży zarobiło. Nieraz ją ofaknięto opryskliwie, niekiedy nawet szorstka ręka ją potraciła. Dziewczyna odczuwała głęboko tę nędzę życia, z zazdrością spoglądała na rówieśniczki odziane w świeże i czyste sukienki. Badziło się w niej z początku tylko pragnienie tego, aby miała bodaj niepodarte buciki i niepołatana sukienkę; gdy wyrastała, wzmagały się jej pragnienia, aż wreszcie ogarniała ją niepołataną żądza używania dostatku i tak jej upłynęło lat szesnaście. Wtedy zdarzyło się, że brat otrzymał stałą robotę na okręcie, który miał odpłynąć do Egiptu. Gdy pewnego razu zmywał schody w kajutach, usłyszał przypadkowo, jak żona kapitana okrętu, mówiła do słuźby, że chciałaby wziąć ze sobą z Genui do Egiptu, jaką dziewczynę do posług. Brat Eleny pobiegł z tą wiadomością do domu i przyprowadził siostrę. Elenor była niezwykle piękna, zgrabna, zręczna, więc spodobała się bardzo i słuźbę objęła. Był to pierwszy jej krok ku lepszej doli. Bez żalu opuściła ojczyznę miasto, w którym tylko nędzą doznawała. Przeszło rok pozostawała w słuźbie u żony kapitana i tu otała się o ludzi, nabrała ogłady, przyswoiła sobie nawet formy lepszego towarzyskiego obejścia, a do tego nauczyła się po angielsku. To jej otwarło wrota do dalszego powodzenia. Po śmierci swojej pani, kapitanowej, otrzymała natychmiast miejsce pokojówki w pierwszorzędnym hotelu w Kairo. Tutaj zakochał się w niej pewien kapitalista francuski, wziął ją z sobą do Paryża i tam kształcił najstarszanniej w zakładach naukowych, chcąc się z nią ożenić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Kuryer Lwowski“

pismo codzienne, rozpoczynające XXV rok swego istnienia, z dniem 1 stycznia 1907

wychodzi dwa razy dziennie

w objętości o 4 stronicie większej, aniżeli dotychczas.

Poranne wydanie „Kuryera Lwowskiego“ zamyka się nad ranem, skutkiem czego mieści ono wiadomości o faktach, jakie zaszły w wieczornych godzinach i w ciągu nocy. - Natychmiastowa ekspedycja tego wydania wczesnymi, porannymi pociągami, umożliwi dostarczenie pisma tego samego dnia rano, bądźto przez pocztę, bądźto przez biura dzienników.

Numer główny „Kuryera Lwowskiego“, objętości dotychczasowej, oddaje się na prasę już o godzinie 2 po południu i wysyła natychmiast popołudniowymi pociągami pospiesznymi, tak, iż dochodzi ono do rąk czytającej publiczności jeszcze tego samego dnia.

Główna ekspedycja pisma dla abonentów, opłacających kosztą jednorazowego doręczenia, odbywa się popołudniu, obu wydań, porannego i popołudniowego razem — na życzenie wysyła się „Kuryera“ dwurazowo, zaraz po wyjściu z pod prasy, za opłatą drugiego porta pocztowego, miesięcznie o 50 hal więcej.

Świeżo sprowadzona pospieszna maszyna rotacyjna skraca czas druku do minimalnych granic — a nowo zorganizowana służba telegraficzna i telefoniczna umożliwia odbieranie najważniejszych wiadomości aż do ostatniej chwili przed zamknięciem numeru.

Wybitne siły publicystyczne i literackie przyrzekły swój udział w rozmaitych działach pisma.

W fejtynie będą pomieszczone utwory powieściowe: Gustawa Daniłowskiego, Ignacego Dąbrowskiego, Wacława Gąsiorowskiego, Włodzimierza Jarosza, Józefa Jedlicza, Marlon (pseudonim), A. Morzkowskiej, Władysława Orkana, Wacława Sieroszewskiego, Adama Szymańskiego, Kazimierza Tetmajera.

Drugi fejtyn zawiera tłumaczenia powieści pierwszorzędnych obcych autorów, na razie rozgłośnego Conan Doyle'a. Nadto wprowadzono fejtyn literacki i naukowy wraz z przeglądem literatury i zjawisk na polu sztuki.

W bezpłatnym dodatku, którego arkusz, w formacie książkowym, dodawany co tydzień, tworzy kilka tomów rocznie, będą zamieszczone cenniejsze utwory powieściowe swojskiej i obcej literatury.

Najpierw ukazała się zajmująca powieść Wiktora Gomulickiego.

Mimo znacznego powiększenia rozmiarów wydawnictwa, prenumerata „Kuryera Lwowskiego“ nie uległa żadnej podwyżce. Wynosi ona nadal jak dotychczas — z jednorazową dostawą do domu K. 2-70 hal. miesięcznie, a kwartalnie K. 8— z dwurazową dostawą miesięcznie K. 3-20 hal., kwartalnie K. 9-50 hal.

Adres:

„Kuryer Lwowski“ ,Lwów, Chorążczyzna 10.

Zagadki do nagrody

(Ułożyła Koliba, Zakopane).

I.

Pierwsze-pierwsze, dźwięczy w śmiechu,
Trzeci-drugie, człowiek znany z grzechu,
Trzeci samo, zwykła to litera
A wszystko po wili uroku nabiera.

II.

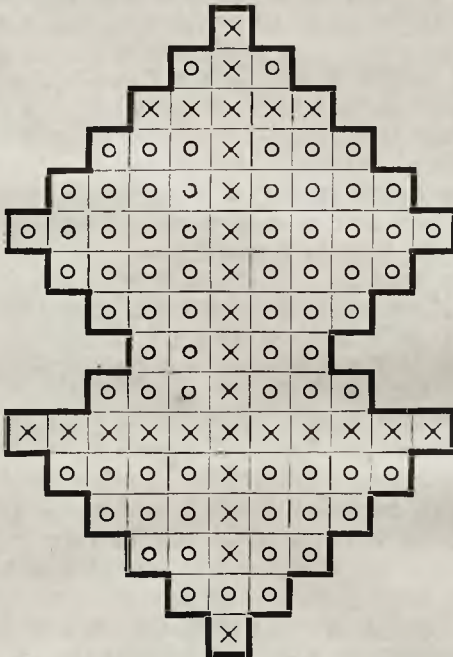
Pierwsza-trzecia, raz wysoka,
Czasem znowu niska hywa;
Druga-trzecia gdy jest gruba
Nie tak łatwo się rozrywa.
Całość — choć jej w kalendarzu brak,
Ale kobieta zowie się tak.

III.

Pięć liter miał w nazwisku
Sławny mąż na tronie:
Pierwszej poszukaj w placzu,
Drugą znajdziesz w pionie;
Od trzeciej się zaczyna
Nikbiańska istota,
Od czwartej ryba z wąsem,
Co leży wśród błota.
Piątą ci w swoim środku
Zwój nici pokaże.
Odgadnijcież to wszystko,
Zacni luminarze.

Kryptogryf.

Kółka i krzyżki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane w pionowym kierunku utworzyły imię i nazwisko znakomitej współczesnej powieściopisarki polskiej, litery w rzędach 3 1 11 tytuły powieści tejże autorki.

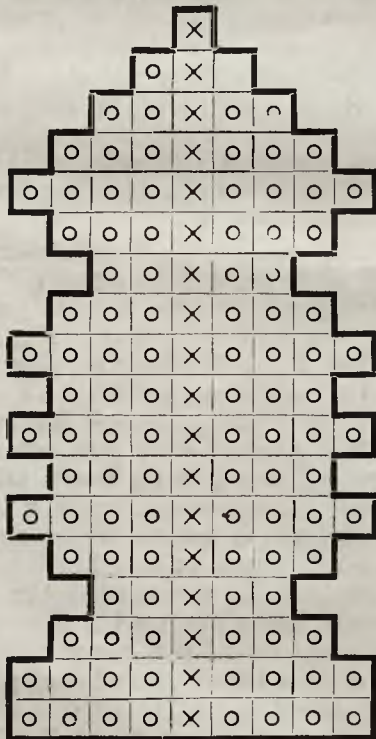


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Część polskiego narodowego ubrania. 3. ? 4. Twory organiczne. 5. Nazwa jednego z współczesnych biskupów w Galicyi. 6. Miejsce kąpielowe w Bawaryi. 7. Prowincja hiszpańska. 8. Nazwa choroby (febra). 9. Skład różnych towarów. 10. Gra hazardowa. 11. ? 12. Iluty żelaza na Morawie. 13. Nazwisko i imię współczesnego kompozytora pieśni polskich. 14. Włoski archeolog, także aktor i pisarz dramatyczny. 15. Narzędzie wzroku. 16. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył Alfred Rotter.

Kółka i krzyżki zastąpić literami w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko powieściopisarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rzeka w Austrii. 3. Miasto w Galicyi. 4. Dawna nazwa Afganistanu. 5. Miasto fabryczne pod zaborem pruskim. 6. Inaczej Argentyna (Zjednoczone Stany). 7. Rzeka poboczna Renu. 8. Kopalnia węgla w Królestwie Polskiem. 9. Zjednoczone Stany w Ameryce. 10. Kraj w Ameryce Północnej. 11. Kraj w Azji. 12. Kraj koronny niemiecki. 13. Wielkie księstwo w północnych Niemczech. 14. Skała. 15. Dwór, w którym mieszkali królowie polscy. 16. Port w Armenii. 17. Mieszkańcy Kaukazu. 18. Wyspa angielska na Oceanie Indyjskim.

Zagadka.

Ułożył Tucha, Czernichów.

Z następujących głosek ułożyć 20 wyrazów, których początkowe litery z góry na dół, a końcowe z dołu do góry czytane, dająby przystawie polskie: ard, bo, brak, dard, do, du, dzień, e, e, ed, fu, gan, helm, ig, ii, is, ka, ki, ko, kom, lau, la, ma, ma, mar, me, mis, mo, ne, o, o, ob, ol, pi, po, ra, ra, re, ro, rum, si, st, stwo, ta, tarz, ty, u, wa, wil, wil, ya, zy, ze, życz.

Znaczenie wyrazów: 1. Cesarz rzymski. 2. Forteca turecka. 3. Imię męskie. 4. Krzew. 5. Sprzęt kościelny. 6. Imię męskie. 7. Plac wiejski. 8. Biedak. 9. Miasto w Egipcie. 10. Góry w Azji. 11. Poszukiwanie. 12. Część zysku lub straty. 13. Owad. 14. Potwarz. 15. Imię męskie. 16. Miasto na Morawach. 17. Rzeka w Ameryce. 18. Broń. 19. Imię żeńskie. 20. Grzech śmiertelny.

Arytmogryf

Ułożył Wł. Macherski, Częstochowa.

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, by litery czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły imię i nazwisko słynnej tancerki.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Imię cyganki. 3. Inaczej wrota. 4. Przedmiot mieszczący w sobie wodę. 5. Taniec. 6. Wyższy zakład naukowy. 7. ? 8. Imię męskie oraz żeńskie zdrobniale. 9. Człowiek przejeżdżający często z miejsca na miejsce. 10. Imię żeńskie zdrobniale. 11. Inaczej dręczący. 12. Inaczej zdolność. 13. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy powieść G. Zapolskiej »Sezonowa miłość«.



Rozwiązanie zagadek z Nru 52.

Szarady.

I. O-płatek. II. Am-bo-na. III. Sy-ba-ry-ta.

Logogryf

Abonujcie i czytajcie »Nowości Ilustrowane«.

Zagadka

Eliza Orzeszkowa: Nad Niemnem. Cham.

Szarady.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: T. Domain Kołomyja, M. Kuzia Wadowice, Jan Badura Roździeń, St. Gajdeczka Sieniawa, Dr. Jan Kasperek Lwów, Tow. »Zgoda« Krosno, Fr. Niepokój Krosno, J. Prohaska Kołomyja, St. Łaszkiwicz Debica, A. Mussil Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, St. Sagucka Słobódka Ieśna, A. Bocsoń Bóbrka, A. Bazylewski Kuino, A. Surowiecki Kraków, A. Batko Lwów, Hala Leligdowicz Fraga, Z. Ziemiański Kraków, H. Zielńska Manajów, K. Fuchs Czeremchów, M. Świtlikowa Rzeszów, A. Rotter Stanisławów, Tow. »Jedność« II. Oddział Łazy, B. Kompertowa Lw. w. Małaczyński Pikułowice, F. Kupferberg Drohobycz, M. Grabowski Miłówka, S. Spunda Skała H. Andrysik Dąb, Dr. St. Warmcki Turka, E. Bogdalski Koropuz, Z. Ciechanowska Stary Sambor, W. Haldziński Lichwin, M. Rożański Libusza, J. Biegut Sucha, A. Trylowski Zabie, J. Bazylewicz Jaktorów, B. Laurukówna Kończaki, S. Michałowska Starzyska, Tow. »Jedność« Oddział I. Łazy, Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymała P. Marya Świtlikowa w Rzeszowie. Prosimy o nadesłanie 33 hal. na koszt przesyłki.



Odpowiedzi Redakcyi.

P. Miliński w Helenkowie: Skończyła się i dalszego ciągu już nie będzie. P. Marya Malicka w Warszawie: Można prenumerować w biurach Ungra. P. Wincenty Kl. w Łodzi: Wszystkie trzy książki, których tytuły Szan. Pan wymienił, znajdują się w handlu księgarskim, jak również są do nabycia w antykwariach.



NADESLANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcyja nie przyjmuje odpowiedzialności).

Sanatorium i zakład wodoleczniczy
specjalnych chorób nerwowych

DRA KUPCZYKA

Kraków, ul. Szujskiego 1. 11.

Kąpiele gazowe z kwasem węglowym
(naheimskie) - - Kąpiele wodoelektr.

